№ 26. Warszawa, dnia 25 (13) Czerwca 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. **7**.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego numeru **Prawdy** dołączamy dodatek bezpłatny za kwartał II, dokończenie pracy Pypina: **Kwestya polska w literaturze rosyjskiej.**

Od 1-go lipca r. b. redakcya „Prawdy" mieścić się będzie przy ulicy Włodzimierskiej (róg Ś-to-Krzyskiej), w domu Wgo Walfisza pod nr. 2.

WYKONANIE TESTAMENTU LASSALE'A.

Wielkie zagadnienia społeczne kryją się zwykle nie w krzykliwych faktach politycznych, nie w oślepiających rakietach, które ściągają na siebie wzrok całego świata, ale w spokojnych starciach czynników cywilizacyjnych, o których często nawet telegraf nie pofatyguje się donieść. Gdy książe rumuński włożył na głowę koronę królewską, daleko silniej zajęło to Europę, niż ostatnie obrady w sejmie niemieckim, mimo że dotknęły one jednej z najważniejszych spraw ogólno-ludzkich. Jeżeli ks. Bismark po za granicami polityki zewnętrznej jest często improwizującym dumnie partaczem, który brak należytej wiedzy i uzdolnień zastępuje uporem i rozkazem, to w każdym razie, bo nawet w dziedzinach mu obcych, zachowuje o tyle swój przyrodzony geniusz, że umie podejmować zadania olbrzymie. Szereg takich zadań, których rozwiązanie dostarczyło Europie wiele praktycznych, zwykle ujemnych przykładów, objęła jego ciągle urzeczywistniana reforma ekonomiczna, zmieniająca do gruntu gospodarstwo społeczne Niemiec. Przy rozpoczęciu jej trudno było zgadnąć, dokąd ona dąży i zdawało się, że jest tylko przemiennym objawem gustu człowieka, który nagle zapragnął okazać swą nienasyconą władzę na nietkniętem dotąd polu; dziś wszakże, gdy owa reforma roztoczyła się należycie, możemy określić jej kierunek i cel, przerastający swą miarą przedsięwzięcia zwykłe.

Czytelnikom *Prawdy* nieobcym jest zapewnie stosunek przyjacielski Bismarka do Lassale'a. Mimo jednak dawno zdradzonej w tym względzie tajemnicy, ludzie zapatrzeni w pozory nie mogli uwierzyć, ażeby twórca praw wyjątkowych przeciwko socyalistom był w swej polityce wewnętrznej tylko uczniem, kontynuatorem, wykonawcą testamentu ojca socyalizmu niemieckiego. A przecież jest to dziś faktem, który nie ulega żadnej wątpliwości.

Wiadomo [1]), że Lassale, zanim go całkowicie pochłonęło apostolstwo socyalistyczne, był równie zapalonym szermierzem politycznym. W rozmowach i broszurach uderzał on ciągle w tę strunę, na której tak mistrzowsko zagrał później Bismark— w potrzebę zjednoczenia Niemiec pod zwierzchnictwem Prus a za pośrednictwem rozbicia Austryi. Chociaż przyjaciel Francyi, na kilka lat przed zgonem przepowiedział nawet konieczność wojny z nią.

Jeżeli te idee widocznie odpowiadają działalności Bismarka, to jego zależność od poprzednika w polityce wewnętrznej jest poprostu uderzającą. Lassale nie był wcale czcicielem parlamentaryzmu, twierdząc, że on niezawsze przyczynia się do polepszenia bytu klas roboczych; od opieki zaś nad nim nietylko nie usuwał państwa, ale owszem był przekonany, że ono najdzielniej może zająć się dolą ludu. Z jego stanowiska było to zupełnie konsekwentnem. Parlamentaryzm, oparty na prawie nieskrępowanego współzawodnictwa i protegujący głównie te żywioły, z którymi socyalizm walczy, nie mógł stanowić dla niego ideału organizacyi państwowej. Tenże sam wstręt uczuwa ks. Bismark, ustawicznie wojujący ze stronnictwem postępowem, w którem widzi uosobienie kapitału a które głównie tą, nie zaś polityczna stroną przeciwstawia się jego dążeniom. Poszlibyśmy jednak za daleko w tem porównaniu, gdybyśmy na rachunek teoryi Lassale'a zapisali wszystkie konsekwencye, jakie z niej wywiódł kanclerz niemiecki. Słynny socyalista nie podpisałby wielu reform ekonomicznych, z jego nauki wysnutych. To wszakże pewna, że on dał im podstawę, że jego powaga służy dziś kanclerzowi niemieckiemu w chwilach zwątpienia za otuchę i pobudkę do uporu. Ideał wspartego na „stanie czwartym" imperyalizmu, który olśnił Lassale'a i którego promienie spodziewał on się nawet skupić na własnej głowie, ideał ten, przykrojony naturalnie do zasadniczych kształtów monarchii niemieckiej, jest ciągle wcielany przez Bismarka. Stąd nienawiść kanclerza do form konstytucyjnych dających przewagę bogatemu mieszczaństwu ze szkodą „stanu czwartego" i korony, stąd jego systemat protekcyjny, stąd wreszcie ostatni krok w sprawie „biednego człowieka" — prawo o ubezpieczeniach robotników, które właśnie przed kilku dniami poniosło w sejmie częściową porażkę. Zastanówmy się nad tem nowem wykonaniem testamentu Lassalle'a.

Skutkiem panującej dotąd w przemyśle zasady wynagradzania pracy robotnika, przyjmującej za miarę potrzeby jego życia, nie zaś korzyści z jego rąk wyciągnięte, narażony on jest w wypadkach choroby, kalectwa lub wreszcie starości na nędzę. Jeżeli, bez względu na to co zrobi, otrzymuje tyle jedynie, ile koniecznie potrzebu-

[1]) Kwestyę tę i wogóle wpływ idej Lassale'a na Bismarka rozjaśnia w wybornym artykule *Wiestnik Jeuropy*, czerwiec 1881.

je, nie może zatem nic zaoszczędzić sobie na chwilę przymusowego bezrobocia. Należy go więc na te chwile ubezpieczyć. Ale zachodzi pytanie, kto ma się do tego przyczynić. Ponieważ robotnik z zysków swej pracy dostaje tyle jedynie, ile potrzeba niezbędnie do utrzymania go, skoro więc wystarczyć na to nie może, musi mu pomódz z jednej strony fabrykant, z drugiej — państwo. Dla czego pierwszy? Dla tego, że ciągnie z jego pracy zyski a nadto powinien być odpowiedzialnym materyalnie, za los sił i środków, używanych do przedsiewzięcia. Jeżeli w fabryce pęknie kocioł, to koszta naprawy lub kupienia nowego ponosi fabrykant. Czemuż więc ma on być wolnym od tych kosztów, gdy skaleczonym zostanie robotnik? Przecież on także uległ uszkodzeniu nie własnowolnie, lecz jest ofiarą pracy, i podobnie jak kocioł dostaje tylko utrzymanie. Skądże dalej płynie obowiązek dla państwa? Ponieważ społeczeństwo korzysta z owoców pewnej produkcyi, musi ono również przyjmować udział w jej niebezpieczeństwach. Cały ciężar okaleczeń nie może spadać wyłącznie na robotnika i fabrykanta, lecz także i na spożywców. Jeżeli np. wszyscy używamy papieru lub sukna, to wszyscy również pod postacią podatku winniśmy przyjmować udział w niebezpieczeństwach wyrabiania tych produktów. Na ubezpieczenie więc robotników składać się winny trzy źródła: oni sami, fabrykanci i państwo.

Cały ten wywód jest bardzo pięknym a oparte na nim prawo ks. Bismarka opłatałoby wawrzynem jego czoło, gdyby nie... polityka. Łatwo pojąć, że zasada ubezpieczenia może przynieść takie lub inne owoce, zależnie od tego, jak będzie wykonaną i czy stanie się celem, czy też środkiem. Naturalnie, w ręku ks. Bismarka mogła się stać tylko środkiem. Jak rzekliśmy, w duchu teoryi Lassale'a, uzupełnionej zasadami absolutyzmu, marzy on o cezaryzmie ludowym, któryby zniósł obecną konstytucyjną organizacyę państwa, obezwładnił sfery stanu trzeciego a z czwartego uczynił niewzruszoną podstawę tej nowej budowy. Odpowiednio do tego planu, ubezpieczenie robotników musi być operacyą państwową a jego nici zbiegać się w rękach rządu. To też gdy projekt asekuracyi robotniczej przyszedł przed obrady sejmu, Izba przenikając myśl kanclerza, odmówiła nadewszystko pomocy państwa, na którą znowu wnioskodawca naparł całą siłą. Skutkiem tego wytworzyła się dziwna, napozór zagadkowa sytuacya: Bismark do udziału w ubezpieczeniu robotników chciał wciągnąć państwo, parlament zaś, który, zdaje się, winien by temu przyklasnąć, ofiarę tę odrzucił. To okrojenie prawa stało się tak dotkliwem dla jego twórcy, że on prawdopodobnie uchwałę sejmową udusi i projekt swój wprowadzi do Izby ponownie, przy zmienionym jej składzie.

Tym sposobem ks Bismarkowi, jako wykonawcy testamentu Lassale'a nie udało się bardzo ważne przedsięwzięcie, za pomocą którego, tj. zapomocą odpowiedniego uorganizowania asekuracyi robotniczej pragnął zawładnąć i do swych celów zaprządz tak zwany przez Lassale'a stan czwarty. Nie szło mu wcale o los mas pracujących i o ich potrzeby, ale o przykucie ich do swego rydwanu. Zbytecznem byłoby wykazywać niebezpieczestwo jego polityki w tym wypadku. Cała ona zmierza jedynie do pochłonięcia jednostki przez państwo, do zniesienia wszelkiej samodzielności społeczeństwa, wszelkiej decentralizacyi. A jeżeli zważymy, że, mimo różnic, do tegoż samego dąży ostatecznie socyalizm, to nie zdziwimy się wcale, że Bismark pożycza sobie u niego pomysłów i pozorów. Idea ubezpieczenia robotników, sama przez się rozumna i sprawiedliwa, wprawiona jako sprężyna do maszyny bismarkowskiego absolutyzmu, traci swą wartość.

Kanclerz niemiecki dziś nie zwyciężył, ale zwycięży za rok lub dwa. Ze względu na ważność podjętej przez niego reformy, należy się głęboko zdziwić, jak ona, zwłaszcza w państwach sąsiadujących, mało na siebie zwraca uwagi. Najdrobniejsze zdanie ks. Bismarka, wyrzeczone o Tunisie lub Bulgaryi, jest przedmiotem nieskończonych rozpraw a nawet powodem poufnych not dyplomatycznych; tymczasem najważniejsze operacye ekonomiczne przechodzą niepostrzeżenie, chociaż nie mijają bez wpływu. Zaiste, należałoby raz pojąć, że potężny ten człowiek opuścił pole dyplomacyi i wszedł na pole gospodarstwa społecznego, na którem może i umie być dla swych przeciwników równie niebezpiecznym. Zwiększenie ilości wojska nie jest ani o włos groźniejszem od zmian w organizacyi społecznej. To też nie omylimy się zapewnie twierdząc, że reforma ekonomiczna Bismarka wywoła w Europie, a nadewszystko w państwach przyległych Niemcom szereg skutków nieobliczonego dziś znaczenia.

A. S.

WYSTAWA INWENTARZA.

Tegoroczna wystawa na Placu Ujazdowskim oczekiwań naszych nie zawiodła. Spodziewaliśmy się ujrzeć i ujrzeliśmy: piękne konie angielskie, arabskie i francuskie; piękne bydło szwajcarskie i holenderskie; piękne owce francuskie, piękne psy angielskie — słowem chwałę hodowli wszystkich krajów z wyjątkiem naszego. Gdyby zawierzyć wystawie, należałoby przyjść do wniosku, że kraj nasz nietylko nie posiada ras własnych, zastosowanych do natury potrzeb i warunków, ale ich nawet posiadać nie może. Przeciwko wnioskowi temu protestował jedynie ustawicznem szczekaniem wyżeł polski, nie mówiąc o świniach, stanowiących najbardziej może gatunek kosmopolityczny.

Uwagi tej nie palimy jako ofiarę na ołtarzu zaściankowego patryotyzmu, lubującego się w swojskich jedynie, choćby najgorszych tworach. Idzie nam wyłącznie o korzyść ekonomiczną, która dotąd wydaje nam się wątpliwą, i o zasadę hodowli, którą uważamy za błędną. Banalną stała się już prawda, że każdy kraj winien wychowywać takie gatunki, które najlepiej odpowiadają jego potrzebom i najwytrwalej znoszą jego warunki. Przyzna każdy, że np. Czarnogórze nie może wprowadzać do siebie perszeronów lub innego rodzaju koni ciężkich, lecz musi posiadać lekkie. Toż samo prawo stosuje się i do nas. Zapewnie, kraj nasz nie posiadając żadnych właściwości krańcowych, nie będąc ani zbyt zimnym, ani zbyt górzystym, ani błotnistym, skutkiem umiarkowania geograficznego może łatwo przyswajać sobie wiele gatunków domowo-zwierzęcych; niemniej jednak muszą one do niego przysto-

---

OPIEKUNOWIE 5)

przez

Szczedryna.

III.

Na głos Tierpibiedowa wszedł człowiek, stanowiący zupełną sprzeczność z „zabronionym“ księdzem. O ile ojciec Arseniusz był poważny i powściągliwy w swych ruchach, o tyle Pantelej Jegorow był krewki i żywy. Pomimo kilku lat szczęśliwego gospodarowania, dotąd jeszcze dobrze przypominał zręcznego parobka, chociaż znać było, że się już z wysoka zapatrywał na to, niegodne zazdrości, stanowisko i starał się całemi siłami naśladować „prawdziwych gospodarzy.“ Miał lat około trzydziestu, o okrągłej, czystej i rumianej twarzy, kręconych włosach, niewielkiej jasnoblond brodzie i malutkich, niespokojnie spoglądających oczkach. Ubrany był w półrosyjską, półniemiecką odzież, składającą się z surduta, zapiętego na dwa rzędy guzików, kamizelki i spodni, zapuszczonych w długie do kolan cholewy. Cała jego figura ustawicznie była w ruchu; głowa wstrząsała się co chwila, oczy biegały, nozdrze rozszerzały się, plecy drżały, ręce zakładał bądź w tyle, bądź na przodzie surduta. Ciągle to siadał na krześle, to szybko zrywał się, jakby pod naciskiem ukrytej sprężyny. Wogóle od pierwszego rzutu oka można było dostrzedz, że jest to karyerowicz i to jeszcze bardzo niewykończony, chociaż, z drugiej strony, znaczne rozwinięcie okolic przybrzusznych świadczyło o kiełkujących już skłonnościach do sybarytctwa. Snać czekał tylko na zawołanie, gdyż za nim ukazało się dwóch parobków z tacami, na których stała wódka i zakąska.

— Przy pierwszej znajomości proszę pozwolić wielmożny panie — zwrócił się do Kołotowa, wskazując ręką na tace.

— Dziękuję, poproszę później o obiad. Kapitan pewnie nie odmówi. Ale siadaj pan.

— Postojemy.

Rzeczywiście postał ze dwie minuty, potem jakoś bokiem przysunął krzesło i jakoś bokiem usiadł na niem. Ale po chwili znowu się zerwał jak oparzony. Tierpibiedow tymczasem i ojciec Arseniusz chwytali widelcami kiełbasę i kawior, łykając kieliszek za kieliszkiem.

— Pan zna pana Parnaczajewa? — zapytał Kołotow gospodarza.

Pantelej Jegorow zatrząsł się cały.

— Pozwoli mi wielmożny pan powiedzieć — zaczął, wyprężając się jak przy raporcie i zakładając ręce w tył — nietylko że go znamy, a nawet bardzo dobrze pojmujemy go, że tak powiem...

— Cóż pan pojmuje?

— Tak pojmujemy, że jest to w całym okręgu najszkodliwszy pan. A gdyby tak wziąć i pana Anpietowa, można by powiedzieć: dwa buty — para!

— To ten Anpietow, co to sam orze?

— Ten sam. Pozwoli wielmożny pan sobie powiedzieć. Naprzód wspomnę choćby o sobie. Chociaż dość niskiego pochodzenia, a jednak, z tem wszystkiem tak cenię siebie, że, zdaje się, tysięcy nie wziąłbym,

sować się, jeżeli mają oddać mu istotne usługi. Ta właśnie potrzeba każe nam nie przejmować żywcem ras cudzych, lecz wytwarzać osobne, jeżeli nie czysto polskie, to co najmniej środkowo-europejskie. O tem, niestety, ziemianie nasze zbyt często zapominają. Głównem ich usiłowaniem wychować konia, któryby najwięcej posiadał krwi arabskiej, lub owcę, któraby była najidealniejszym merynosem, bez względu na to, że ów koń jest do niczego, prócz spacerów, niezdatny, a ta owca przy lada zakatarzeniu zdechnie. I dla czego? Dla tego, że u nas umiejętna, świadoma swych celów hodowla inwentarza nie stała się jeszcze pracą gospodarczą, ale zabawką. Kto w naszym kraju przeważnie, z bardzo nielicznymi wyjątkami, wychowuje piękne konie, bydło i owce? Ci, którzy mają dość pieniędzy na zbytki i dość ambicyi do popisania się swą zamożnością.

Przy takiej popisowej zasadzie hodowli naturalnie pierwsze miejsce zajmują te gatunki, które najbardziej olśniewają oko, uwydatniają wytworność i służą do okazania zbytku — przedewszystkiem konie. Zwiedźcie obory, owczarnie — tam często niema na co popatrzeć, ale stajnie muszą być zawsze wspaniałe. Niejeden pan, czarujący śliczną czwórką, nie ma porządnych dwu par wołów. Stosunek ten odbił się również na wystawie. Koni nieprzeliczone szeregi, bydła daleko mniej, owiec trochę, świń bardzo mało, kur i kaczek na próbkę, indyków nawet nie dostrzegliśmy. Niemal komicznie wyglądają cztery woły, przechadzające się poważnie po placu wystawy, na którym uwija się mnóstwo karet, powozów, amerykanek, kabryoletów, wreszcie jeźdźców wierzchowych, przeskakujących, licho wie po co, przeszkody lub harcujących zawzięcie przed trybuną, dla pokazania, że... np. mogą jedną ręką zataczać koniem w rozmaite strony. Widzieliśmy ludzi starych, trzęsących się na lichych szkapach przed frontem publiczności i niemiłosiernie zawstydzanych przez Hryćka lub Bogdana, którzy na oklep objeżdżali konie jak przyrośnięci do ich grzbietu. Popisy te, w których dla utrzymania równowagi, prezentowano po kilka sztuk bydła, przypominały nam ciągle bal na cześć monarchy austryakiego w Galicyi, gdzie w bukiet wielkich panów wsadzono jednego żyda i jednego chłopa, ażeby nie brakło żadnego stanu. Jak tam zabawa była balem arystokracyi, tak ta wystawa jest balem koni.

Wobec takiego jej charakteru nie dziwi nas wcale, że wszyscy wystawcy otrzymują jakieś nagrody. Są to sztukmistrze, hodujący egzotyczne latorośle krajów obcych, jakże więc ich nie wynagradzać! Jedyną różnicą może być tylko stopień osiągniętej doskonałości w wychowaniu gatunku obcego. W tych tylko granicach wahać się mogą szale uznania.

Do powyższych uwag naszych pozwalamy sobie dołączyć wymowny ustęp wielce utalentowanego fejletonisty z artykułu w *Kuryerze Warszawskim*.

„Widzieliśmy tedy rzeczy następujące:

Konie — arabskie, angielskie, perszerony, normandzkie, trakeńskie, czerkieskie, turkmeńskie, meklemburskie, irlandzkie, huntery — półkrwi i czystej krwi.

Bydło—holenderskie, oldenburskie, montofon, schwytz. shorthorn, simenthal-bern—półkrwi i czystej krwi.

Owce i trzodę chlewną — elektoral-negretti, rambouillet, boldenbock, eiderstadt, york-shire, linkoln — półkrwi i czystej krwi.

Drób i psy — hudańskie, dorking, brabanckie, hiszpańskie, kochinchińskie, aylesburg, angielskie, czesko-angielskie, kurlandzkie, ulmskie —półkrwi i czystej krwi.

Przedmioty mające związek z pracą i chowem koni — wózki sandlaufer, bucki amerykańskie, chomonta i siodła angielskie, zaprzęgi węgierskie i wiedeńskie — półkrwi i czystej krwi.

Lokaje i dżokieje — anglicy, francuzi, niemcy — półkrwi i czystej krwi.

Mody — paryskie, przeważnie półkrwi.

Język — angielski i francuski półkrwi.

Kiedy sobie przypominam te rzeczy, pytam sam siebie: gdzie byłem i co widziałem?

Czy wystawę polską?

Nie.

Czy wystawę powszechną?

Ale gdzie tam!

Więc cóż?... Chyba miniaturową wieżę Babel, wyrosłą na polskim gruncie.

Gdybym przypuszczał, że w tym nieszczęsnym kraju wszyscy już są anglikami ćwierćkrwi i francuzami półkrwi, wówczas skończyłbym na wieży Babel i oczekiwał—rozejścia się synów Noego. Na szczęście, 150 wystawców nie reprezentują pół miliona naszych właścicieli większych i mniejszych, a i między tymi, którzy zwiedzali wystawę lub przyjmowali w niej udział, nie wszyscy jeszcze kandydują o tytuł angielskich albo francuskich polaków.

Dziwnie mi się to wydaje, szanowni panowie, a moi ukochani rodacy, że w naszym kraju, który do dziś dnia chełpi się nazwą „rolniczego,“ niema wcale hodowanej, krajowej rasy bydła...

Niektórzy mówią, że rasę taką należy dopiero utworzyć. Ja zaś sądzę, że ona już istnieje, pracuje na nas, karmi swojem mięsem i mlekiem kilka milionów ludności. Tylko, ponieważ włościanie są ubodzy i ciemni, a panowie sprowadzają bydlęta zagraniczne, więc nieszczęsny krajowy bydlak mrze głód i z każdym rokiem marnieje.

To też dziś, dzięki naszej zaciekłości dla wszystkiego co jest obcem, doszliśmy już do takiego upadku, że każdy prawie wystawca nazywa krajową rasę „niewartą, aczkolwiek i wśród niej trafiają się piękne osobniki.“

Zwracam uwagę panów, którzy tak mówią, że przed 100-ma laty i angielskie bydło było „niewarte.“

Dopiero uczciwe karmienie, dozór i łączenie „trafiających się pięknych osobników“ dało początek tym rasom, które panowie z tak wielkim nakładem sprowadzacie do obcego im klimatu.

Gdyby najpiękniejsze rasy angielskie tak głodzono, męczono i zaniedbywano jak nasze, to zdechłyby w ciągu trzech pokoleń. Z czego okazuje się, że rasa nasza jest od nich bezporównania silniejsza i stanowi cudowny materyał dla przyszłej, umiejętnej hodowli.

Kiedy czytam zdania wystawców, którzy twierdzą, że nasza rasa jest „niewarta“ (choć jeszcze nic z nią nie robili), wówczas przychodzą mi na myśl owi fabrykanci, którzy naszego robotnika zwą „niewartym,“ owi panowie, którzy naszego chłopa zwą „niewartym,“ a nareszcie owi cudzoziemcy, którzy o naszych robotnikach, fabrykantach, chłopach, panach i hodowcach także mówią, że są „niewarci.“ Po jakież więc licha kręcimy bicz sami na siebie?...

Z tego uważane stanowiska nasze wystawy są poprostu zabawką. Będą zaś poważnemi wówczas, gdy ze swoich szranków wyłączą wszelkie rasy obce, stanowiące przedmiot agronomicznego zbytku, lecz gdy zaczną nagradzać tych wystawców, którzy uczciwie traktują pokorne, zahukane i w okrutny sposób krzywdzone bydło krajowe.

Nie to jest narodowem bogactwem, co krociowemu panu daje pole do popisu, ale to — co karmi chłopa. Wszelako tej starej prawdy ekonomicznej daremnie będziemy

---

żeby z chłopem przejść po jednej linii! Proszę pana, co tu samego, za pozwoleniem, smrodu!... Boże mój! No, a on — dla niego — to jak u szlachetnych państwa *ambré*.

— No więc, pan Anpietow orze, ale co robi pan Parnaczajew?

— Nie orze — to prawda! Ale ośmielę się wielmożnemu panu donieść, że wielkie nieszczęście spada przez niego na lud. A jakie nieszczęście!... I jeśli teraz, naprzykład, choćby między chłopstwem albo nawet między panami obywatelami, młodszymi naturalnie — jeśli się nieco zaruszyło, to właśnie pana Parnaczajewa robota!...

— Cóż się właściwie ruszyło?

— Wszystko, wielmożny panie! Jednem słowem, wszystko. Chociażby naprzykład, stowarzyszenia, kasy — słyszałem te rzeczy! Dawniej każdy, proszę pana, pilnował swego: pan był na służbie, kupiec handlował, chłop pracował na pana... A dziś, można powiedzieć, przez te kasy, te towarzystwa, te szkoły — cała czerń poszła w górę!...

— Ale skądże pan wnosi, że to idzie od Parnaczajewa?

— Proszę pana!... jak tego nie wiedzieć! Wszyscy tylko o tem mówią! Naturalnie on wystrzega się, a nawet nie przed każdym się odkrywa; ale z jego postępków widać to dobrze.

— Dobrze się stało, że pan wspomniałeś o postępkach. Możesz pan wymienić choćby jeden?

— Alež, nawet bardzo mogę. Weźmy za przykład, choć taki wypadek. Przybywa on w tych dniach do naszej osady... pod pretekstem szkoły. Zebrali gromadę, wyszedł do niej i zaczął przemawiać do starców: „Osadę macie dużą, karczem bez liczby, a szkoły niema. A ponieważ jesteście ludzie ciemni, więc też wszyscy was oszukują. Kupcy dają mniejszą miarę, okpiwają, urzędnicy gnębią. I nigdzie nie możecie praw pozyskać, gdyż, jeżeli nawet pójdziecie do sądu, to i tam porządnie nie potraficie waszej sprawy opowiedzieć. Wszystko przez to, że szkoły niema. A będzie szkoła, rozszerzy się światło wszędzie. Nie wy, to dzieci wasze będą uczone, i każde zadośćuczynienia potrafi poszukać!... I nikt ich nie obrazi, gdyż człowiek uczony znajdzie środek na każdą obrazę. Dobrze. Mówi on sobie, a ja stoję i słucham. I myśli mi się ciągle — jakoś niezręcznie mówi! Urzędnicy, powiada, gnębią, a przecież to sługi rządu, jakże to tak? Albo to: każdy człowiek może sobie zrobić zadośćuczynienie. Słychane to rzeczy! Cóż to, sądów nie mamy? Ach, myślę sobie: za daleko, Waleryanie Piotrowiczu, rzuciliście kamiuszczek! Żeby tylko nie trzeba samemu go podnosić! I oto zaraz potem przyszło mi do głowy. On tam opowiada a ja pędem do restauracyi: — poczekaj urządzę ci ja niespodziankę! Przyszedłem, stanąłem za bufetem i czekam, aż przyjdzie na herbatę. I rzeczywiście, po upływie pół godziny — jest. Ja też zaraz do maszyny: „Jakże sławny...“ to znaczy w Sionie! I cóż wielmożny pan sądzi, żeby choć mrugnął! Goście siedzą, piją herbatę, wszyscy, że tak powiem, rozrzewnieni, a on, panie, jak wszedł w czapce, tak i na górę zaraz. Ślicznie. Spojrzałem tylko za nim i aż pokiwałem głową. Spostrzegło to nawet wiele

szukali w owej encyklopedyi, która — psy zalicza do drobiu.

Tryumfy obecnej wystawy i tych, które ją poprzedziły, są dobrowolnem zamykaniem oczu na prawdę. Prawdą zaś jest, że u nas hodowla zwierząt domowych znajduje się w strasznym upadku, którego nie zasłonią ani kokardy, ani medale, ani stosy pochwalnych listów. Wówczas zaś będzie dobrze, gdy nasza „niewarta“ rasa dojdzie do takiego rozgłosu, jakim cieszą się: holenderskie, szwajcarskie i im podobne.“

Zaiste, apostrofę tę winni zapamiętać nasi wystawcy.

W. Z.

LEOPOLITANA.

X.

Przy urzędowej *Gazecie lwowskiej* wychodzi jako dodatek *Przewodnik naukowy i literacki* — pismo nader starannie redagowane i będące niejako matecznikiem piśmienniczego ruchu w tej części naszej dzielnicy. Dość będzie wymienić tutaj nazwiska Liskego, Kubali, Kanteckiego, Tretiaka, Ćwiklińskiego, Pilata i t. d., którzy pracami swemi zasilają kolumny *Przewodnika*, ażeby wam dać miarę naukowej i literackiej wartości tej publikacyi. Przedewszystkiem zaś odznaczają się prace historyczne, w piśmie tem zamieszczane, o których słusznie powiedzieć można, iż postępowi krajowego dziejoznawstwa rzetelny przynoszą pożytek. Monografie w zakres ten wchodzące, zwykle na źródłowych oparte badaniach, a przedstawiające nam przeszłość naszą w prawdziwych (a więc — niestety! najczęściej bardzo ponurych) barwach, posiadają istotną wartość naukową, mogłyby przeto istotną być chlubą i ozdobą każdego niezależnego pisma. W publiblikacyi zaś, przyczepionej do fabryki „urzędowej“ opinii publicznej, — do organu rządu, którego stuletnia gospodarka zapisała się w pamięci naszej gruntownem zubożeniem kraju, materyalnym i intelektualnym uciskiem i powaśnieniem warstw społecznych, oraz sławną r. 1846, „rabacyą“ — w publikacyi takiej, powiadam, robią te obrazy z dziejów bezrządu dawnej Rzeczypospolitej dziwne, a nader przykre wrażenie. Zdaje się zawsze, jakoby ów idealny hofrat, stojący w mundurze i pirożku, niby c. k. cherub na straży narodowego znicza, roztaczał je przed oczyma naszemi z umysłu, niby odpowiednie *repoussoir*, aby nas przekonać, jak wielce wdzięczni być powinniśmy rządowi, który ulitowawszy się nad naszą dolą, raczył nas przytulić do swego łona.

Co się tyczy niezależnych pism naszych codziennych t. j. *Gazety narodowej* i *Dziennika polskiego*, te, tracąc z dniem każdym coraz bardziej swoje w świecie naszym znaczenie, nie wywierają dziś już żadnego wpływu na ruch umysłowy w naszej dzielnicy. Nie wyrażając pragnień, ni bolów naszego społeczeństwa, nie stojąc w żadnym stosunku z ludźmi, którzy u nas bądź to w Sejmie, bądź to w Radzie Państwa, robią politykę, stoją one *de facto* po za polityką i społeczeństwem, a zrozumiała wobec panujących prądów obawa o byt zmusza je do śpiewania piosnki urzędowego organu, którą wygłaszają z mniej lub więcej tromtadratyczną koloraturą. Czasami tylko z tego szarego odmętu wynurzy się w *Gazecie narodowej* ekonomiczny artykuł p. Merunowicza, lub przegląd polityczny p. Masłowskiego, jak gdyby na to jeno, by lepiej uwydatnić panujące w tych strefach ciemności. Nie mogąc skutecznej prowadzić walki ze swym uprzywilejowanym i zasobnym przeciwnikiem, opierają *Gazeta narodowa* i *Dziennik polski* byt swego działu literackiego na tłomaczeniach i przedrukach, nie zajmują się dziś nawet piśmienniczym ruchem, zrzekłszy się na korzyść urzędowego organu wszelkich roszczeń do sterowania narodową myślą. Ażeby zaznaczyć tę ich apatyę, dość powiedzieć, że ani *Gazeta* ani *Dziennik*, nie podają nigdy oceny pojawiających się u nas książek, że nie pojmując nawet, jak dzielnego mogłyby znaleźć sojusznika w tutejszem *Literackiem Kole*, założonem przecie w tym celu, aby się stało ogniskiem dla samodzielnej polskiej myśli, zdają się prawie nie wiedzieć o jego istnieniu; że wreszcie taka nawet w swoim rodzaju ciekawa publikacya jak *Album dla Zagrzebia*, w której udział wzięło trzydziestu kilku pisarzy i któraby przeto każdemu człowiekowi myślącemu nastręczyła sposobność do spostrzeżeń o prądach na polu umysłowego ruchu panujących, o kierunku tak licznego zastępu autorów, — że, powiadam, taka nawet antologia, nosząca wybitne piętno współczesnego u nas duchowego życia, nastręczająca się krytykowi sama jako przedmiot zajmującej dyagnozy, będąca przeto gratką prawdziwą dla dziennikarza, pojmującego swoje zadanie, nie doczekała się w łamach niezawisłej prasy naszej niczego, krom pobieżnej tylko — bibliograficznej wzmianki!

To samo, co tu o niezależnych codziennych pismach naszych powiedziałem, da się również rzec i o *Tygodniu*, który opierając byt swój na przedrukach, tłomaczeniach, muzie p. Rodocia, i — nożyczkach, pod redakcyą p. Biernackiego (wymienionego już raz Rodocia) z dniem każdym coraz bardziej upada. Pismo to — niegdyś tak świetne! — stoi dziś zbieraninką, dokonywaną *au hasard de la fourchette*, bez żadnego wyboru, i przedstawia się jako prawdziwa *silva rerum*, której żadna nie przyświeca myśl przewodnia. Upadek ten, tem boleśniejszy jest, że Galicyi przedewszystkiem innem właśnieby potrzeba tygodniowego pisma, które stojąc ponad kotłującemi się, stronniczemi namiętnościami, ponad wrzawą walki i zacietrzewieniem walczących, poddawało sumiennej filozoficznej krytyce rozliczne przejawy naszego publicznego życia. Pismo takie, prostujące wszelką krzywość i niszczące już w zarodzie jad szkodliwych zarazków, znakomicie by się zasłużyło sprawie postępu, a rozumnie prowadzone, mogłoby niebawem ująć w dłoń swoją dyktaturę współczesnego umysłowego ruchu. Aliści, *blasen heisst nicht flöten!* — jak powiada stary Göthe, a *Tydzień* nie posiada wcale odpowiednich ku temu warunków, aby mógł sprostać podobnemu zadaniu. Sposób zresztą, w jaki redakcya pojmuje swoje posłannictwo, charakteryzuje najzasadniej odpowiedź wydawcy, dana pewnemu tutejszemu literatowi na zrobioną sobie uwagę, że redakcya *Tygodnia*, przedrukowując pyłki i szczyty z *Kuryera Warszawskiego* i *Echa* lichą umysłową strawę podaje swym czytelnikom. „Tem ci lepiej, jeżeli to głupie! — odpowiedział na to zagadniony. „Ja właśnie szukam takich rzeczy, bo publiczność najbardziej w głupstwach smakuje!“

---

osób! A tak mnie ta niegrzeczność rozgniewała, że nawet, zdaje się, te same pieniądze, które mi zapłacił za herbatę... zdaje się, wyrzuciłbym raczej za okno, aniżelibym miał takich gości przyjmować!

— E, braciszku, pieniędzy pewnie nie wyrzucisz za okno, choćby ich przyniósł sam antychryst—zwyczajem swoim przerwał znienacka Tierpibiedow.

Ojciec Arseniusz zadrżał; Pantelej Jegorow zbladł.

— Pływasz pan po piasku! — odparł, mrugając oczyma na Tierpibiedowa — ot co powiesz nam, Nikiforze Piotrowiczu.

— Za pozwoleniem. Porzućmy, kapitanie, epizody! wtrącił Kołotow — i zajmijmy się dalej przedmiotem naszej konferencyi. I tak, pan powiada, że Parnaczajew dotknął pana boleśnie swym postępkiem?

— Tak oburzył, tak obraził, że aż dusza mi się przewróciła. Jak przed Bogiem — zlituj się pan! Tu publika... herbatę piją... w rozrzewnieniu... a on w czapce! Wszyscy tak aż, aż, aż — trzęśli się!

— I sądzisz pan, żo to było umyślnie z jego strony?

— Proszę pana, jakże nawet przypuścić, żeby to nie było umyślnie? Tu, panie, publika... herbatę piją... przejęci do głębi... a ten w czapce!...

— Idzie o to, czy to było umyślnie zrobione, czy nie? Czy pan możesz dowieść, że to było umyślnie!

— Ależ wielmożny panie. Po cóż to? Co widziałem, to mówię. To sprawa duchowa... Jakżeż można tego dowieść? Widziałem, prawdę mówiąc, że publika... w rozrzewnieniu... pije herbatę... a on w czapce!

— Dlaczegożeś pan wtedy poprostu nie zwrócił jego uwagi, że obraża i pana i pańskich gości?... Możeby się sprawa wyjaśniła?...

— Zdaje się, niema takich przepisów, żeby chłopi uczyli panów. Oni tu wszystkich uczą, nie zaś, żeby ich, panie...

— Ale jednak, gdybym tak teraz powtórzył pańskie opowiadanie — wbije go się tem w dumę.

— Proszę pana, po co mu to powtarzać. On i bez tego cierpi do mnie nienawiść. Taki, mogę powiedzieć, puszcza na mnie morał: i lichwiarzem jestem i fanciarzem. Nawet ciężkich robót dla mnie za mało. Dwa razy wszczynał sprawę moją z panem Mosiaginem. Zeszłej zimy w najlepszy czas, za superrewizyi, dzięki jemu, zamknięto mi dwa zakłady z trunkami. Buntuje przeciw mnie — i tyle. Gdyby teraz jeszcze na mnie co powiedzieć — cóż stąd wynika!

— A no widzisz pan, oskarżasz człowieka, a w oczy mu tego powtórzyć nie chcesz.

— Po cóż, wielmożny panie, ja tak z prostoty! Myślałem, że mu się tam dostanie... i że się wszystko na tem skończy!

— A pan sądzisz, że to sprawić człowiekowi monitum, to nic nie jest?

Pantelej Jegorow zamilkł. Nerwowo szurał nogami po jednem miejscu i rzucał bojaźliwe spojrzenia na ojca Arseniusza. Ale „zabroniony“ ksiądz stał na uboczu i trącał widelcem w pusty talerz. Na chwilę zapanowało w pokoju głębokie milczenie!...

— Więc tedy, panu Parnaczajewowi, jednak nic nie będzie!... ryknął znienacka, jak piorun, Tierpibiedow...

KONIEC.

Ta sama gwiazda, która przyświeca redakcyi *Tygodnia* zdaje się także prowadzić i muzę p. Rodocia po owych krajach, gdzie na olśnionego majakiem sławy wędrowca czyhają zdradliwe daktyle, zabójcze jamby i karkołomne anapesty. Muzie tej, sprawującej urząd markietanki *à la suite* głównego sztabu naszej tromtadratycznej prasy, należy się tu słuszna wzmianka, ze względu, iż płody jej są najpiękniejszą a nieuniknioną niemal każdego numeru *Tygodnia* ozdobą, nadają pismu temu ton i koloryt właściwy, będąc zwykle jedynym w tej z przedruków i tłomaczeń poszywanej łataninie oryginalnym, z łona redakcyi wypływającym utworem. Był czas, kiedy z powodu dość udatnego przekładu piosnek Berangera, posądzano muzę p. Rodocia o o blizkie pokrewieństwo z Kastalką spiewaka Lizety; bliższe śledztwo uwolniło ją wszelako najzupełniej od tego niesprawiedliwego zarzutu, i jakkolwiek nas p. Rodoć w jednej ze swych satyr zapewnia, że w świętym ogniu miłości czerpie swoje natchnienie, niepodobna muzy jego pomawiać o zbytnią sercową tkliwość. Jestto sobie owszem bóstwo *sui generis*, nader hipokondryczne, wiecznie zadąsane, niewiedzieć czego chcące i dosyć podobne do owych starych panien z legendy, które cierpiąc wieczny ból zębów, gniewają się nieustannie — nie wiedzieć za co, i na kogo? — a podwiązują oblicze zadąsane żółtą, w szafranie farbowaną, chusteczką. Toteż znajdują te płody złego humoru jedynie chwalców w pośród ludzi mniej wybrednych. Ci, których nieba wykwintniejszym obdarzyły smakiem, nie mogą się jakoś przekonać do tych — jak je p. Rodoć nazywa —*obyczajowych satyr*, których partytura nie wychodzi po za granice monotonnego trybu: „złodziej, oszust, zdrajca,“ a ogół nasz, bacząc na widokrąg poety, nazywa te zgryźliwe niby satyry wierszowaną *Strażnicą*, samego zaś ich autora rymowanym Gniewoszem.

W braku poważnego pisma, któreby w naszej dzielnicy mogło być bussolą dla samodzielnej narodowej myśli, stara się wypełniać obowiązki trzeźwego Mentora opinii publicznej *Szczutek*, o ile na to pozwalają szczupłe ramy i humorystyczna forma tego pisemka. Łatwo wam zrozumiałe względy nie pozwalają mi obszerniej mówić o *Szczutku*, którego naczelnym redaktorem jest p. Liberat Zajączkowski, a głównymi współpracownikami pp. Włodzimierz Stabelski i Włodzimierz Zagórski, pisujący pod pseudonymem *Chochlika*. Cokolwiekbądź, stwierdzić mi tu jednakże wolno, że humorystyczne pisemko to nietylko się wielkiem w kraju cieszy powodzeniem, lecz także niezaprzeczalny wpływ wywiera na kierunek opinii, i że nawet decydujące u nas sfery, z któremi zresztą nie bardzo sympatyzuje *Szczutek*, liczą się z jego zdaniem.

Junius.

PRASA ANGIELSKA.

Bez przesady rzec można, że prasa peryodyczna samego tylko Londynu, codzienna i tygodniowa, pomieszcza obecnie więcej prac i utworów znakomitych przez rok jeden, aniżeli ich wydał cały wiek XVIII-ty.

Niema dnia, aby w pismach angielskich nie pojawił się choć jeden artykuł, godzien zająć miejsce wpośród klasyków tego kraju. Dziś jeszcze profesorowie przedstawiają w uniwersytetach studentom jako wzory stylu artykuły dziennikarskie whigów z czasów królowej Anny.

Podziwiać też trzeba, że autorowie pomimo krótkiego trwania tych prac, powierzają je gazetom. Niesłychanie szybki wzrost dziennikarstwa angielskiego sprawił istotny przewrot w literaturze. Najznakomitsi autorowie obecnie ogłaszają swe prace i studya w pismach peryodycznych.

Olbrzymie rozpowszechnienie wielu dzienników, odbijanych w ogromnej liczbie egzemplarzy, przynosi zarówno wydawcom, jak i autorom olbrzymie dochody. Autorowie londyńscy artykułów poczytnych, a więc poszukiwanych, zarabiają bez wielkiego trudu od 15 do 20 gwinei (od 115 do 200 rs.) tygodniowo.

W r. 1846 wydano *The News paper Press Directory* (Rocznik prasy). W owym roku w królestwach połączonych było 14 pism codziennych: 12 w Londynie, 2 w Dublinie. Dziś Londyn posiada ich 18: 13 porannych i 5 wieczornych. 56 dzienników porannych i 40 wieczornych wychodzi na prowincyi: 3 poranne i 1 wieczorny w Walii; 14 porannych i 7 wieczornych w Szkocyi; 13 porannych i 4 wieczorne w Irlandyi; 1 dziennik poranny na wyspie Man i 1 na Jersey.

W r. 1846 liczba pism codziennych i tygodniowych wynosiła 551: 130 w Londynie, 226 na prowincyi: 8 w Walii, 79 w Szkocyi, 92 w Irlandyi i 16 na wyspach. W r. 1851 doszła do 563. Zniesienie stempla w r. 1856 wywołało przewrot; powstały pisma nowe i od r. 1851 do 1861 liczba ich prawie się podwaja z 563 na 1,102.

Po zniesieniu stempla powstał *Morning Star* dla obrony zasad szkoły manchesterskiej, wolności handlu, pokoju za jakąbądź cenę, nieinterwencyi bezwzględnej. Kapitał jego wynosił około 4,500 f. s. (przeszło 500,000 rs.), z których Cobden dostarczył 250. Pomimo odbijania 15,000 egz., nie opłacał się i wydawcy nabyli w jego miejsce *Daily News* w r. 1870 za 8,000 f. s. (około 30,000 rs.).

Po założeniu *Star'a* prasa angielska wzbogaciła się jeszcze dwoma nowymi organami: *Daily Telegraph* i *Clerkenwell News*. Pierwszy, po trudnych początkach, zdobył byt świetny. Przy braku kapitału, zpoczątku *Daily Telegraph* przedstawiał interes niekorzystny; dopiero gdy właściciele zdecydowali się na krok stanowczy, sprzedaż numeru po pensie, powodzenie okazało się niesłychane — dziennik doszedł największej liczby egzemplarzy w świecie. Zanim jednak to nastąpiło, musiał przejść wiele trudności i nieraz w kasie nie było grosza na wydanie jutrzejszego numeru. *Clerkenwell News*, pismo lokalne, przeznaczone dla części tylko Londynu, powodzenie swe zawdzięcza taniości ogłoszeń. Z początku tygodniowe, później zamienione na dziennik z dodaniem nazwy *Daily Chronicle*, ostatecznie pod tym wyłącznie tytułem stanowi organ radykalizmu najbardziej krańcowego.

Obniżenie taryfy pocztowej w r. 1870, wbrew oczekiwaniom nie wpłynęło na powiększenie liczby nowych dzienników. W roku tym bowiem powstał tylko jeden. Natomiast powiększała się ciągle liczba egzemplarzy gazet już istniejących. W niedawnych jeszcze latach liczba 40,000 do 50,000 egz. uważała się za nadzwyczajną— obecnie *Daily Telegraph* odbija przeszło 250,000 egz., potem idzie *Standard*, którego wydania poranne i wieczorne dochodzą do 180,000 egz. podczas gdy *Times* i *Daily News* biją 100,000 i 170,000 egz.

Nie należy sądzić, że Londyn tylko powoduje takie powiększenie nakładu dzienników; prowincya niemniej tu ważną odgrywa rolę.

Przyczyniła się do tego znacznie energia jednego człowieka. Od czasu wstąpienia do *Stationery Office* p. Lethbridge koleje zaprowadziły specyalne *pociągi dzienników*, (u nas nawet istniejące przewozić nie chcą), które zabierając nieco podróżnych, w właściwych godzinach rozchodzą się z Londynu w kierunku wielkich prowincyonalnych ognisk przemysłu i portów morskich, niosąc ogromne ilości jeszcze mokrych gazet. Przez tak kolosalną i szybką ekspedycyę dzienniki poranne dochodzą np. do Brystolu w parę minut po 9-tej z rana.

Taniość pism i szybkość mechaniczna w sposobach odbijania przyczyniły się najbardziej do rozwoju prasy angielskiej. Zaprowadzenie maszyny parowej w drukarni *Timesa* ogłoszono w mieście przez fanfary. Od tego czasu jednak wprowadzono jeszcze większe ulepszenia, maszyny cylindrowe Hoe'go, prasy Waltera zaprowadzone w *Timesie*, prasy Marinoniego i t. d. Dziś maszyny ulepszone zdolne są odbijać do 12,000 egz. na godzinę; ze względu jednak na ochronę poprzestają na odbijaniu 7,000 do 8,000 egz.

Prasa prowincyonalna, znając bliżej potrzeby i upodobania swoich prenumeratorów, wywiera na nich wpływ silniejszy i niepodobna zaprzeczyć, że Londyn nie odgrywa już tak przeważnej roli jak dawniej. Liverpool jest jakby olbrzymiem ujściem W. Brytanii do Ameryki; on też jest zarazem głównem ogniskiem. Za nim idą: Manchester, Edymburg i Dublin.

Prasa angielska rozkwitła głównie w dziennikach; pisma tygodniowe od lat pięćdziesięciu mają tam nierównie mniejsze znaczenie. Tygodników jest w stolicy niewiele: *Illustrated London News*, *Graphic*, *Queen*, *Saturday Review*, *Spectator* i inne pisma literackie lub artystyczne są w pewnym stopniu jakby dodatkami codziennych. Właściwie mówiąc, prawdziwymi tygodnikami w Londynie są pisma wychodzące w niedzielę. Wszystkie bardzo starannie redagowane. *Observer* zamieszcza wyborne krytyki teatralne i sprawozdania bibliograficzne. *News of the Wordl* i *Weekly Times* drukowane w sobotę z datą niedzielną są radykalne, a *England* pennowy stanowi organ Towarzystwa Patryotycznego. Wymienione dzienniki należą do pism poważnych; istnieje jeszcze mnóstwo innych, redagowanych w sposób gwałtowny, językiem przechodzącym wszelkie granice radykalizmu politycznego. Na czele tych ostatnich stoi *Weekly Dispatch*, założony przez aldermana Harmera, odznaczający się tonem zaciekłym. *Dispatch* jednak jest jeszcze umiarkowanym w porównaniu z *Lloyd's Weekly London News*, pismem klas roboczych, które odbija 500,000 egz. co tydzień. Ton, panujący w tem piśmie, jest głosem gwałtownej opozycyi; autorowie jego są niezadowoleni z konstytucyi, z praw, z urzędników, z pryncypałów, ze wszystkiego, co tylko przechodzi poziom najniższych potrzeb ludowych; wszędzie tu przeciwstawiane są cnoty klasy roboczej występkom wyrodzonej arystokracyi. A jednak istnieje pismo jeszcze radykalniejsze od *Lloyd's News*— mianowicie *Reinold's Weekly News Paper*, sławne napaściami na rodzinę królewską, nienawiścią do Beaconsfielda i ubóstwianiem Gladstone'a.

Wychodzi prócz tego mnóstwo pisemek, poświęconych interesom pojedyńczych dzielnic lub parafij. Takich lokalnych organów tygodniowych istnieje obecnie 104.

Mnóstwo także pism zajmuje się wyłącznie pewnemi gałęziami przemysłu. W r. 1846 było 18 codziennych i tygodniowych, poświęconych jedynie kolejom żelaznym; w r. 1851 zostało z nich trzy tylko i to głównie w celu popierania interesów urzędników kolejowych.

Pism humorystycznych wychodzi 33, a jestto rodzaj najbardziej zmienny. Średni ich żywot nie przenosi ośmiu miesięcy, powstają głównie i opierają się na rozgłosie słynnych humorystów. Najdłużej przetrwały stary *Punch*, *Tun* i *Judy*, które są wyjątkiem, potwierdzającym tylko ogólne prawidło.

Pism modnych jest 24, poświęconych rozmaitym gałęziom handlu 119, wreszcie 44 kościelno-religijnych.

Wszystkie te organa prasy i cyfry wskazują, w jakim stosunku różne klasy społeczeństwa angielskiego korzystają z publicystyki. Niemniej ciekawe są sposoby, jakimi gromadzą się i rozlewają po kraju wiadomości. Sposoby te w ostatnich czasach uległy gruntownym zmianom. Pierwszy wielki przewrot sprawił wynalazek telegrafów. Niedawno jeszcze mowy w parlamencie rzadko bywały przesyłane drutem. Zwykle reporterowie notowali je na prędce, częścią podczas sesyi, częścią na kolei, wykończając potem swe sprawozdania w redakcyi dziennika. Obecnie wszystko się zmieniło; reporterya od lat dwudziestu wyrugowana przez telegraf przeniosła się na inne pole i stanowi potęgę. Podobnież stosunki wielkich dzienników z rządami zagranicznymi uległy zupełnemu przewrotowi; miejsce rozumowanych korespondencyj pocztowych, zawierających fakty bieżące ze stosownemi uwagami, zajęły depesze telegraficzne.

Reuter założył w Londynie biuro centralne telegraficzne i ustanowił we wszystkich głównych miastach kraju i stałego lądu swoich agentów, którzy nadsyłają mu stale depesze telegraficzne. Interes ten, zaczęty na małą skalę, doszedł do olbrzymich rozmiarów i obecnie niema kąta cywilizowanego, z którymby biuro Reutera nie miało stosunków. Oprócz jednak depesz z tego źródła, wielkie dzienniki angielskie mają swoje własne informacye telegraficzne, a nawet swoje własne druty. *Times* posiada drut z Paryża i Berlina. Dziennik ten ma stosunki z wszystkimi krajami i podaje całe kolumny telegramów z całego świata. Podobnież *Daily Telegraph* ma własny drut dla dopełnienia depesz Reutera. Prenumerata dzienników społecznych jest tak olbrzymia, że pokrywa te nadzwyczajne koszta informacyi. Utrzymanie jednego drutu wynosi 8,000 rs.; razem zaś z odnośnem biurem specyalnem, wymagającem licznej i inteligentnej obsługi, koszt drutu własnego dochodzi do 20,000 rs. rocznie.

Korespondencya londyńska jest również ważną i dawną instytucyą; kopiuje ona w biurze centralnem niezliczone korespondencye, nadsyłane przez agentów specyalnych ze wszystkich ognisk świata i rozsyła dziennikom prowincyonalnym wiadomości i korespondencye londyńskie przez pocztę kolejową. W r. 1863 pp. Saunders i Spender założyli *Central Press*, która dostarcza gazetom całych kolumn klisz gotowych. Stereotypia w tem zastosowaniu zyskała ogromne znaczenie. Od godziny 6-tej rano t. j. od chwili ukazywania się dzienników londyńskich, redakcya pracuje; około godziny 12 w południe gotowych jest 11 do 12 kolumn najważniejszych wiadomości z różnych dzienników; o 4-tej po południu wszystko się kończy i rozsyła.

Oprócz *Central Press* w podobny sposób działają jeszcze *National Press* i *Central News*, zsyłające również gotowe klisze pismom prowincyonalnym o mniejszych zasobach, dla oszczędzenia im składania większej części kolumn. Redakcye zbierają i składają tylko wiadomości miejscowe i ogłoszenia a po nadejściu kliszy londyńskiej drukują szybko swoje gazety.

Założone w r. 1868 Stowarzyszenie Prasy ekspedyuje z wyłączeniem Londynu po prowincyi królestw zjednoczonych wszystkie depesze Reutera i główne wiadomości londyńskie. Do towarzystwa tego należą dyrektorowie wielkich dzienników stołecznych; administracya i manipulacya jego jest mistrzowska.

Koszty drutu specyalnego dla dziennika londyńskiego podaliśmy wyżej; co do kosztów depesz Reutera, te dla członków Stowarzyszenia Prasy wynoszą 294 f. s. (około 3,000 rs.) zaś dla nienależących do stowarzyszenia 323 f. s. Depesze Reutera musi mieć każdy dziennik, chcący zadowolnić powszechne wymagania. Oprócz tego gazety ognisk przemysłowych i wielkich portów muszą mieć kurs giełdy nowo-jorskiej.

Ileż to numerów po 1 pensie trzeba sprzedać, aby pokryć sam koszt depesz! Równoważą te wydatki jedynie ogromne dochody z ogłoszeń.

Telegramy Reutera są tylko małą cząstką wiadomości, dostarczanych przez Stowarzyszenie Prasy; dołącza ono do nich sprawozdania z parlamentu, wyciągi z dzienników stołecznych, oraz wiadomości zbierane we wszystkich miastach W. Brytanii przez agentów stowarzyszenia.

Romanse głośnych autorów są stereotypowane podobnie jak w *Central Press* i sprzedawane jednocześnie kilku dziennikom razem z kliszami ilustracyj Dorego lub innych sławnych rysowników.

Co do ogólnego charakteru prasy angielskiej przyznać trzeba, że konserwatyści okazują wielkie zaniedbanie względem pism swojego stronnictwa. Temu to przypisać należy położenie poniżone, w jakiem się one obecnie znajdują. Podczas gdy prasa liberalna otrzymuje ciągle radę, poparcie a nawet kapitały na zakładanie nowych dzienników od swych współwyznawców, dziennikarze konserwatywni zaledwie są przyjmowani w swym świecie z najchłodniejszą grzecznością. Gdy rząd liberalny znajduje się u władzy, komunikuje on chętnie najważniejsze nowiny popierającym go dziennikom; administracya konserwatywna, przeciwnie, jakby znać nie chciała swej prasy. Właściciele dzienników są przedewszystkiem przedsiębiorcami, których celem jest osiągnięcie jak największych korzyści materyalnych. Od lat pięćdziesięciu stronnictwo liberalne, poznawszy potęgę prasy, starało się ciągle o jej względy i popierało ją wszelkiemi środkami. To też wiele bardzo zrobiła ona dla rządów liberalnych. Przeciwnie, prasa zachowawcza przez rządy konserwatywne a zwłaszcza za Beaconsfielda bywała bardzo zniechęcana. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że większa część pism angielskich, a mianowicie stołecznych, jest w ręku stronnictwa liberalnego, któremu one wyrobiły wpływ nadzwyczajny i pozwoliły zdobyć władzę. Rozpatrując prasę codzienną i tygodniową prowincyi, widać że i tam partya zachowawcza nie potrafiła wyrobić sobie w dziennikarstwie dostatecznego przedstawicielstwa.

W obecnem położeniu, można rzec śmiało, że 450 na 546 dzienników należy do partyi liberalnej, a 3 na 5 przedstawia nawet opinie dość krańcowe. Koserwatyści są reprezentowani w Londynie urzędownie przez 1 dziennik wieczorny, połurzędownie przez drugi, przez 2 jeszcze mniej lub bardziej wyraźnie; z dzienników jednak tygodniowych zaledwie 2 mogą być uważane za konserwatywne. Na prowincyi z 1,376 wszystkich dzienników i tygodników tylko 330 jest konserwatywnych. Obliczenia bardzo ścisłe wykazały, że liczba głosów, udzielonych na ostatnich wyborach liberalnym, była większa o 200,000 od zdobytych przez konserwatystów; skąd wynika, że większość wyborców czerpie swoje informacye w dziennikach liberalnych.

Cz.

WYNIKI FILOZOFICZNE
fizyki współczesnej.

I.

Bardzo niedawno na jednym z odczytów publicznych prof. Spasowicz wygłosił nader piękne porównanie całego obszaru naszej wiedzy do małego jasnego pola na niezmiernie wielkiem, zupełnie ciemnem tle. Jasny ten krążek koła wiadomego łączy się z czarnem tłem nigdy niepoznawalnego zapomocą wązkiego paska półcienia, który zwęża się i zachodzi w chwilach sceptycyzmu na jasne pole wiedzy lub też znowu rozszerza się w innych epokach i oświetla ciemne przestrzenie nigdy niepoznawalnego.

Śliczne to porównanie nietylko przedstawia bardzo trafnie stan wiedzy, ale nadto maluje zmienność kierunków, w których się ona rozwija. Istotnie, w chwilach naukowego zastoju i zwątpienia widnokręgi myśli ludzkiej zwężają się; epoki zaś szybkiego rozwoju nauki, nietylko otwierają nowe pola, ale nadto wlewają w umysły badaczów nadzieję dotarcia aż po za krańce pozytywnie wiadomych faktów.

Możnaby owo porównanie prof. Spasowicza rozwinąć nieco szczegółowiej i nie omylić się twierdząc, że znaczenie nauk fizycznych w dziele rozszerzania kręgów wiedzy naszej jest zawsze trwałe, nigdy nie oscylujące w tę lub ową stronę, lecz stale dążące w kierunku niewiadomego. Przedmiotowy charakter badań fizycznych, ścisłość matematycznego sądzenia o spostrzeżonych zjawiskach stawia nauki fizyczne tuż przy matematyce, na której rezultaty żaden sceptycyzm nie ośmielił się targnąć. Nic przeto dziwnego, że owoce postępów fizyki wywierają zawsze wpływ, jeśli nie potężny, to w każdym razie trwały na filozofię, uważaną jako naukę ogólną o świecie całym.

Skutkiem takiego stanu rzeczy rozwijają się współcześnie dwa prądy. Specyaliści, drobiazgowi i sumienni badacze zjawisk fizyko-chemicznych wykraczają od czasu do czasu po za ciasne ramy pojedyńczych faktów (Du Bois-Reymond, Helmholtz, Wurtz, Berthellot i w. i.), aby wyrosić te ogólne o wszechświecie pojęcia, do jakich doprowadziło ich sumienne badanie martwej przyrody; z drugiej zaś strony filozofowie właściwi oznajmiają się z naukami ścisłemi dokładnie i ich rezultaty wprowadzają jako poważny czynnik do swych pojęć filozoficznych.

Nową próbkę usiłowań tego ostatniego rodzaju dał nam p. E. Naville, w pracy pod powyższym tytułem[1]), którą przedstawiamy czytelnikom *Prawdy*.

Wywód swój rozpoczyna E. Naville od uwag, które są poniekąd zawarte w przytoczonem porównaniu Spasowicza. Zaznacza on bowiem w krótkości rozmaite kierunki, jakimi kroczyła filozofia nowożytna, a głównie te jej działy, które opierają się na naukach fizycznych.

Odnosząc powstanie fizyki do czasów Galileusza, nazywa używaną przezeń metodę prawdziwie naukową, gdyż opierała się ona na tworzeniu wielu hypotez, lecz uznawaniu tylko tych, które zostały sprawdzone przez doświadczenie. Czasy późniejsze zmieniły ten stan wiedzy. Pomimo żywego przykładu Galileusza i wymownych nauk Bacona, doświadczenia straciły należne im znaczenie, głównie skutkiem tego, jak twierdzi Naville, że najwięksi mistrze nauki XVII wieku, Leibnitz i Descartes, byli specyalnie matematycznie ukształceni; kierunek więc dany przez nich umysłom uprawnił metodę *apriorycznego*

[1]) *Rev. phil.*, 1881, styczeń.

sądzenia. Mniemano, że można poznać przyrodę na zasadzie takich samych dedukcyj, na jakich jest oparta geometrya analityczna i rachunek nieskończenie małych.

Lecz ten zwrot do racyonalizmu trwał niedługo. Wiek XVIII znowu skierował umysły ku doświadczalnym badaniom [1]), racyonalizm zaś w tymże czasie przepłynął do Niemiec i doszedł tam do swego szczytu w pracach Hegla, który pragnął wszystkie prawa fizyki, wszystkie własności połączeń chemicznych, równie jak i historyę rozwoju ludzkości, wyprowadzić *a priori*, na zasadzie czystego myślenia [2]). Losy prac Hegla sprawdziły twierdzenie, że upadek następuje po rozpuście; wytworzyła się bowiem nowa reakcya przeciw racyonalizmowi, znalazłszy swój ostatni wyraz w pozytywizmie, który nie pozwala wykraczać myślom po za granice prostego systematyzowania faktów.

„Po tych gwałtownych przeskokach, o których wspomnieliśmy wyżej, po tych nieoczekiwanych i raptownych zwrotach teoretyków od bezwzględnego racyonalizmu do czystego empiryzmu, i od empiryzmu czystego do bezwzględnego racyonalizmu, przyszedł już czas, by z historyi wiedzy wyciągnąć zawartą w niej naukę.“ Tem zdaniem E. Naville usprawiedliwia swe wystąpienie.

Dla dokładnego przedstawienia myśli autora, musimy przedewszystkiem wyłożyć jego pogląd na znaczenie fizyki dla ogólnej nauki o wszechświecie, przyczem, rzecz prosta, iż fizyką nazywa on ogół praw i wiadomości zarówno fizycznych, jak i chemicznych, odnoszących się do martwej przyrody.

Każdy poważny systemat filozoficzny winien, zdaniem Naville'a, ulegać wpływom rozwoju pojedyńczych gałęzi wiedzy. Tak np. heliocentryczna teorya Kopernika wywarła olbrzymi wpływ na ogólny kierunek myślenia. Ustaliła ona pojęcie ogromu i nieskończoności przestrzeni, które możliwie (*virtuellement*) istnieje w umyśle ludzkim, a nadto, rozwój jej szczegółów zmienił zupełnie poglądy na przyczyny ostateczne. Podobnie postępy fizyologii zrobiły w ostatnich czasach całkowity przewrót w pojęciach o człowieku, którego dziś nikt, jako tako obeznany z mechanizmem ciała ludzkiego, nie nazwie „intelligencyą, obsługiwaną przez organy“ — jak tego chce definicya, dana przez de Bonald'a.

Tak więc wpływ pojedyńczych nauk na filozofię jest niezaprzeczalny; lecz może być w skutkach dwojaki, zależnie od tego, na jaki umysł padną ziarna poszczególnych nauk.

Filozof korzysta ze wszystkich nauk, jest co do swej wiedzy encyklopedystą, a dążeniem jego jest znalezienie pojedyńczego prawa, jedynej zasady, tłomaczącej świat cały, a każda poważna filozofia, godna tego nazwiska, jest zawsze monizmem. Systematyk, z pozoru nader podobny do pierwszego, w gruncie rzeczy różni się odeń zupełnie. Zajmuje go nie cały obszar wszystkich nauk, lecz pojedyncze szczegóły jednej. Szczegóły te układa on w szeregi i teorye, a opierając się na znanych faktach, tworzy hypotezy ogólne, które surowej krytyki nie wytrzymują. Takie to przedwczesne syntezy są teraz, zdaniem autora, na porządku dziennym w fizyce, a jako przykład podobnego stanu rzeczy przytacza on zdanie Tyndalla, który schodząc w bardzo smutnem usposobieniu z wierzchołka góry Cervin, wyraził się,

1) Autor ma tu wyłącznie na myśli Francyę.

2) Tait, współpracownik Thomsona, należący do pierwszorzędnych fizyków angielskich, mówiąc o jednej z definicyj Hegla, a mianowicie o określeniu ruchu, powiada, iż odnośny ustęp u Hegla jest tak nieprawdopodobnie głupi (*incredibilly absurd*), iż on, Tait, nie czuje się na siłach przetłomaczenia go na język angielski i dla tego przytacza po niemiecku (*Advances in Physikal Sciences* London 1876).

że gdy spojrzał na mgławicę, unoszącą się w bezbrzeżnych przestrzeniach nad wierzchołkiem góry, pomyślał, iż mgławica ta zawiera w sobie możliwie (*virtuellement*) wszystkie zaczątki przyszłych zjawisk materyalnego i duchowego świata. „Zmuszałem się, mówi Tyndall, aby przykuć mą uwagę do tej mgły wszechświatowej, zawierającej w sobie zarodki wszystkiego, co tylko istnieje; zmuszałem się do uważania mgławic za siedlisko sił, których działanie wyraża się w postaci systematów słonecznych i gwiazdowych z tem wszystkiem, co one w sobie zawierają. Czyż ten obłok bez formy nie zawiera w sobie *in potentia* i tego uczucia żałości, z jakiem rozmyślałem o górze Cervin? Czyż myśl moja, wznosząc się przez nieskończone przestrzenie świata aż do mgławicy, nie wracała przez to do swego pierwotnego siedliska?“

Cały ten ustęp Tyndalla Naville uważa jako zbyt pospieszną syntezę, na tej zasadzie, iż przypuszczenie, że mgławica ma w sobie *in potentia* wszystkie warunki przyszłych przemian i przyszłego rozwoju, przeczy zasadzie bezwładności materyi, a przeczyć tej zasadzie, znaczy obalać w samych podstawach prace Fresnela, Ampèra i Faradaya [1]). Przejście w pomienionym ustępie Tyndalla od zjawisk materyalnych do czysto duchowych, jakiem jest smutek, Naville nazywa gwałtownem i grubem, utrzymując, że takiego zestawienia pojęć nigdy nie dopuściłby się umysł filozoficzny. Zdaje się więc, że znakomity uczony angielski, olśniony postępami fizyki, nie spostrzegł, iż sam narusza podstawy tej nauki, którą z tak świetnem powodzeniem uprawiał. To zachowanie się Tyndalla jest właśnie obrazem błędu, popełnionego przez umysł systematyczny; błędu, polegającego na gwałtownym przeskoku od rzeczy materyalnych do wszystkiego, co obejmuje wszechświat.

W celu wyciągnięcia możliwie najdalszych wniosków, jakie można wyprowadzić z fizyki, zważmy, iż cały dzisiejszy jej kierunek doprowadza do uznania, że wszystkie zjawiska materyalne przy objektywnem rozpatrywaniu dadzą się sprowadzić do ruchu i że ilość energii we wszechświecie jest stałą; to znaczy, że ilość tej siły wywołującej i zmieniającej rozmaite ruchy materyi zawsze pozostaje jednakową. Nie należy także zapominać, że samą materyę

1) Zwracamy tu uwagę czytelnika, że Naville w krytyce przytoczonego ustępu Tyndalla zdradza zupełnie powierzchowny racyonalizm, oparty na kilku zdaniach Tyndalla wziętych w odosobnieniu, a nie w połączeniu z całością dzieł jego. Utrzymywać, iż Tyndall zaprzecza zasadzie bezwładności, jest poprostu śmiesznem. Zasadzie tej on wcale zaprzeczać nie myśli — tylko w poglądach swoich stoi na zupełnie odmiennym niż Naville gruncie. Tyndal, równie jak (pierwszy, zdaje mi się) Condillac i Helmholtz (u nas pod tym względem najjaśniej wyrażał się X. Hugo Kołłątaj — patrz *Badania historyczne*, wydanie Kojsiewicza t. I.) siłę i materyę traktuje jako abstrakcye i definicyj tych pojęć wcale dać nie usiłuje, tłomacząc się pod tym względem jasno i szczerze, podczas gdy Naville, omijając kwestyę ścisłych definicyj obu tych pojęć — traktuje jedno i drugie, jako odrębne byty. Nie wchodząc zupełnie w rozbiór pytania, który z tych dwóch punktów widzenia ma za sobą racyę z natury rzeczy wypływającą — twierdzimy stanowczo, iż wmawiać w Tyndalla, iż on zaprzecza zasadzie bezwładności, nie można. Po ogólne poglądy Tyndalla należy uciec się, jak sądzę, nie do artykułu „W górach,“ z którego pomieniony ustęp zaczerpnięty, lecz do pracy p. t. *O budowie wszechświata*, umieszczonej w *The Forthnightly Review* i do artykułu o znaczeniu wyobraźni w tworzeniu teoryj naukowych. Ta ostatnia praca jest nawet przełożona na język francuski przez X. X. Moigno i Raillarda a wydana pod tytułem: *La lumière — notes d'un cours de neuf leçons sur le role scientifique de l'imagination* Paris 1872. Pierwsza z tych prac traktuje mechaniczne pojęcia o wszechświecie; druga—związek pomiędzy zjawiskami materyalnemi, zmysłami i wysnuwanemi przy ich udziale pojęciami.

zdołali już fizycy ująć w karby matematyki i że w miarę postępów wiedzy coraz większą liczbę zjawisk objaśniają zapomocą bardzo niewielu praw ogólnych.

Przed rozpatrzeniem jednak kilku bardzo ważnych doktryn fizycznych, należy się zastanowić wraz z Naville'm nad metodą, której przy ich rozważaniu należy się trzymać.

Otóż w celu rozpatrzenia metody, trzeba koniecznie rozróżnić dwojakiego rodzaju zasady przewodnie, na których opierają się rozumowania filozoficzne. Te zasady przewodnie (*principes directeures*) mogą być albo *formalne*, albo też *konkretne*, lecz w tym ostatnim razie dane *a priori*. Objaśnimy charakter tego podziału przykładem. „Niebo jest doskonałem, więc na słońcu plam nie ma,“ mówili założycielom nowej astronomii fanatyczni uczniowie Arystotelesa, a to ich zdanie jest dokładnym przykładem zasady przewodniej *konkretnej*, lecz postawionej *a priori*. Takie konkretne zasady, stawiane *a priori*, nauka zwykle burzy w miarę swego postępu; lecz jeśli powiemy: „świat jest zrozumiałym, prawa przyrody są proste i niezmienne,“ to zdanie takie może nam służyć za przykład zasady przewodniej *formalnej*, której, zdaniem Naville'a, nic nie jest wstanie obalić. Descartes nie rozróżniał tych dwu gatunków *zasad* i w skutek tego popełnił wiele błędów, które wywołały zupełne zerwanie z zasadami *a priori* całej późniejszej szkoły fizyków. Ci, niedowierzając już zupełnie *zasadom*, oparli się na czystym empiryzmie. Lecz spostrzedz nie trudno, że błędy Descartes'a pochodzą tylko z pomięszania zasad formalnych z konkretnemi. Prawdy, wyprowadzone na podstawie pierwszych, stanowią trwałą i nigdy nieobaloną część systematu filozofii kartezyańskiej, podczas gdy słabe jej punkty opierają się nie na formalnych, lecz na konkretnych zasadach *a priori*. W ten sposób — twierdzi Naville — kwestya jest postawioną jasno: *zasady formalne* wchodzą w roli pośrednika pomiędzy racyonalizm i empiryzm, przyczyna wielu błędów filozofii jest objaśnioną. Więc też po tych uwagach nad *metodą* rozumowania, która pozwala na wprowadzenie do fizyki całego logicznego aparatu racyonalizmu, możemy przystąpić do rozpatrzenia kilku danych z nauki o martwej przyrodzie.

Do dziś, jak wiadomo, nie posiadamy, a być może nigdy posiadać nie będziemy dokładnej i wystarczającej teoryi o budowie materyi. Taką jest główna myśl ustępu, traktującego w pracy Naville'a o budowie materyi. Przyjmując teoryę atomową, nie wyczerpujemy bynajmniej kwestyi, bo o naturze atomu nic nie wiemy, choćbyśmy nawet jego istnienie przyjęli za pewnik.

Jeśli jednak co do natury atomów fizyka nie daje nam trwałej odpowiedzi, za to rozwiązuje poważną kwestyę klasyfikacyi własności materyi (ciał). Podział, ustanowiony przez Descartes'a, Locke'a, Reida, Dugalda, Stewarta a obalony przez Naisseta i Stuarta Milla, znajduje, zdaniem Naville'a, usprawiedliwienie w dzisiejszej fizyce. Będzie to więc podział na własności objektywne, czyli główne, do jakich należy forma i ruch — i na własności drugorzędne, jak barwa, smak, dźwięczność i t.d. które już są skutkiem otrzymywanych przez nas wrażeń [1]). Kończąc ustęp o materyi p. Naville proponuje nowe nazwy na oznaczenie obu grup własności materyi, a mianowicie: objektywne radzi nazywać istotnemi (*essentielles*) a subjektywne przypadkowemi (*accidentelles*).

Wyczerpawszy w ten sposób kwestyę

1) Bardzo wielu fizyologów pojęcie rozciągłości, a więc i formy, odnosi dziś do czucia mięśniowego. Przy takiem rozpatrywaniu kwestyi podział własności ciał na subjektywne i objektywne upada.

materyi i jej własności. Naville przechodzi z kolei do pojęć pierwiastków duchowych, do jakich doprowadza fizyka współczesna. Sprawozdanie o tej części jego pracy odkładamy do przyszłego numeru *Prawdy*.

J. J. T.

KONGRES GEOGRAFICZNY

w Berlinie.

Pod przewodnictwem dra Nachtigala, w gronie stu uczonych, odbyły się w Berlinie obrady geograficzne, których bodaj ogólnikowy odgłos przenosimy do naszego pisma.

Rozpoczął je prof. Zöppritz (z Królewca) wykładem o „środkach i drodze, mogącej doprowadzić do poznania jądra ziemi" (tytuł rozprawy).

Przy możliwości zgruntowania skorupy ziemskiej do głębi tylko 1,300 metrów (zaledwie $^1/_{5000}$ całego jej promienia!) mało jest nadziei, aby człowiek kiedykolwiek poznał ściśle wnętrze zamieszkanej przez się planety. Nawet z lawy wulkanów nie mamy prawa wnioskować nic stanowczego, nie mogąc określić ściśle stopnia jej gorąca w samem miejscu, z którego wychodzi.

Pozostaje więc tylko droga pośrednia. Zarówno geologiczne, jak i astronomiczne dane wskazują, że gęstość ziemi wzrasta w miarę pogłębiania się w kierunku jej środka.

Astronomiczne zjawisko t. z. *precesyi porównań nocno-dziennych*, polegające na tem, że słońce i księżyc dążą do skierowania równikowego i ekliptycznego bieguna w jedno wspólne miejsce, chciano zastosować do badań nad składem jądra ziemi. Opierając jednak badanie to na faktach, zebranych przez naukę z porównania stanu ziemi, gdy ta była jeszcze płynnem ciałem, ze stanem, gdy jej masa zgęstniała już i stwardniała, trzeba było dojść koniecznie do wniosku, że precesye *płynnego* i *stałego* ciała, zupełnie mogą być różne. Należy natomiast wziąć pod uwagę daleko baczniejszą zmiany, jakie ziemia mogła przechodzić pod wpływem słońca, w przypuszczalnie płynnym swoim stanie.

Pomijamy tu szczegóły dowodzenia Zöppritza, oparte na zjawiskach znanych: przypływu i odpływu morza, chwiania się wysokości poziomu wód na ziemi co dni 14 (pod wpływem księżyca) i takiegoż chwiania się poziomu wód co pół roku (pod wpływem słońca); zaznaczamy natomiast główną treść tej części jego rozprawy.

Dr. Zöppritz ze wszystkich wniosków, podanych przez naukę co do stanu jądra ziemi, uważa za najsłuszniejszy ten, że ono jest mięszaniną gazową. Przypuszczenie to oparte jest na znanej teoryi o mgławicach (*nebułosach*). Jedną z takich mgławic musiała być najprawdopodobniej i ziemia. Wówczas to masa gazu, układając się własnem naturalnem prawem najpierw do kształtu kuli, zgęszczając się następnie coraz bardziej od wierzchu (przy czem wszystkie jej cząstki zachowują zawsze tę samą, niezakłóconą równowagę) — może stać się w końcu tylko jądrem ciała, doprowadzonego już na powierzchni do stanu skrzepnięcia. Jeżeliby ziemia w rzeczywistości była taką mgławicą, to musiałaby mieć temperaturę 100,000 stopni, znajdowałaby się pod naciskiem 3 milionów atmosfer i posiadałaby gęstość 143 razy większą od gęstości wody; dałoby to jej, przy głębokości $^1/_{10}$ części jej promienia, temperaturę 14,000 stopni, a według tego, co dziś wiemy o jej wnętrzu, musiałoby ono zawierać gorąca 20,000 takichż stopni. Wszystkie ciała posiadają pewien stały stopień temperatury, (jej *granicę krytyczną*), po przekroczeniu którego mogą tylko stawać się gazowemi. Granica ta nie wznosi się dla żadnego ciała zapewnie po nad 6,000 stopni; w jądrze ziemi zatem znajdują się ciała już w stanie *nadkrytycznym*, a więc w stanie *gazu*.

Przy obecnej naszej wiedzy o elastyczności gazów, nie możemy wyobrazić sobie, jaka jest właściwie istota tego jądra. To też przedewszystkiem pozostaje nam w przyszłości: oznaczenie *prawa gęstości* ziemi.

Po Zöppritzu, zabrał głos prof. Nein (z Marburga), wziąwszy za przedmiot swojej dysertacyi: „Wyspy Bermudzkie i ich koralowe rafy."

Uczony ten, przemawiając za pierwotnością korali, wbrew przypuszczeniom, podanym przez Johna Marila w angielskim dzienniku *Nature*, i powtarzając to, co już o nich powiedział przedtem w różnych drukowanych rozprawach, — zajął się następnie opisem flory, fauny i meteorologicznych oraz geognostycznych objawów, cechujących przyrodę wysp wspomnionych. Najciekawszem było jego oświadczenie, że wyspy te stanowią archipelag raf koralowych, wspierających się na jednym, olbrzymim, wysokości Montblanc'u, kolosie, który wprost z dna oceanu wspina się stromo w górę.

Następnie kongres słuchał rozprawy prof. Kirchhoffa (z Halli) w kwestyi szkolnych wykładów geografii. Bardzo pouczającemi i dla nas, dla naszej szkolnej pedagogii mogą być zdania, wygłoszone przez tego uczonego. Utrzymuje on, że wogóle nauka geografii po szkołach traktowana jest nie tak, jak powinna. Dotąd połączona jest zwykle z historyą, zamiast przylegać bliżej i prawie wyłącznie do tego gruntu, który tworzą nauki przyrodzone w spółce z matematyką. Dopóki też pedagodzy nie zwrócą uwagi na tę niedokładność w systemacie szkolnego wykładu, geografia nigdy nie będzie mogła spełniać swego zadania. Mięszanie historyi z geografią, zamiast pożytku, szkodę tylko przynosi tej ostatniej; gdy tymczasem nauka ta, ze względu na treść swoją, nietylko sama posiłkuje się głównie wiadomościami z dziedziny nauk przyrodzonych, ale także nawzajem, potężną jest dla nich pomocą. Dlatego zaleca Kirchhoff wykład osobliwie troskliwy tej gałęzi wiedzy w wyższych klasach szkół średnich, co, jak widzimy, jest już zupełnie przeciwnem zasadzie, stosowanej dziś u nas w szkole.

Prof. Wagner, który mówił następnie, dopełnił niejako rozprawę Kirchhoffa, przez podanie prawideł, jakich trzymać się należy przy zalecaniu uczniom rysowania map geograficznych. Ten głos w naszej puszczy przebrzmiałby bez echa, więc też go nie powtarzamy.

Na drugiem posiedzeniu, prof. Neumayer traktował o „ważności badań magnetycznych ze stanowiska geografii i kosmografii." Przebiegłszy historyę badań, prowadzonych od stu lat nad magnetyzmem, i zaznaczywszy następnie ważność osiągniętych wyników, Neumayer zeszedł następnie na grunt geografii, wykazując, ile poznanie t. z. *ziemskiego magnetyzmu* przyczyniło się do wyjaśnienia różnych zjawisk, w naturze naszej planety, o których nie mielibyśmy inaczej żadnego pojęcia.

Pomijając zbyt specyalne dla naszego pisma wywody, wspomnimy tylko o jednym ciekawym jego wniosku, tyczącym się więcej kosmografii niż geografii właściwej. Naumayer utrzymuje, iż nietylko słońce i księżyc, ale i inne ciała niebieskie wywierają wpływ swój na zjawiska naszej planety i że różne t. z. *deklinacye, inklinacye* i t. p. objawy, obserwowane przy igle magnesowej, pochodzą z praw, normujących ruchy wielu jeszcze innych, a może i wszystkich światów.

W kolei rozpraw, traktujących o różnych przedmiotach, pomagających do rozszerzenia wiedzy geograficznej, wystąpiła także *etnologia*. Zajął się nią profesor Bastian, znakomity podróżnik i uczony, który w kwiecistej mowie starał się wyjaśnić kongresowi całą ważność wiadomości o różnych ludach, rasach i szczepach ziemi. Główną osią jego rozprawy było dowodzenie, jak wielką doniosłość dla wzbogacenia wiedzy naszej mają wszystkie ludy, tak zwane przez nas dzikie; że z badań nad nimi dochodzimy do wniosków o naszym własnym dawno minionym bycie, poznajemy historyę własnego rozwoju i prawa, według których prowadziła nas natura do stanu, w jakim znajdujemy się obecnie. Trzeba się spieszyć z poznaniem i tych ludów, gdyż one ciągle nikną z oblicza ziemi, a inne oświata trawi tak szybko, iż wkrótce do badań może nam zabraknąć zupełnie materyału!

Po Bastianie mówił jeszcze prof. Mejtzen „o narodowych kształtach niemieckiego *domu*, w ich geograficznym i historycznym rozwoju."

Przy końcu kongresu znowu powrócono do sprawy wykładu geografii w szkołach, do map i podręczników. Co do pierwszych, dr. Lehmann (z Halli), przedstawił kongresowi używaną przezeń, własną metodę rysowania kart jeograficznych (ex temporale).

Wszystkie te wyjaśnienia pedagogiczne rzuciły wiele światła na metodę uczenia tej ważnej gałęzi wiedzy, która u nas możeby uschła dzięki szkole, gdyby jej nie pobudzał do życia... *Wędrowiec* i jego wydawnictwa.

T. T.

Poemat kaszubski.

(O panu Czorlińscim, co do Pucka po sece jachoł zełgoł dla swojech druchów kaszubściech Jaron Derdowski. Toruń 1880. Własność Igorza.) — Kilka słów o ludowym eposie.

W naszej epoce, gdy twórczość literacka tak często staje się kunsztem i dogadza wyrafinowanym gustom, zjawiskiem bardzo rzadkiem jest poezya, płynąca z żywej krynicy życia ludowego. Prostota i naiwność pierwotnego eposu — oto są dwa główne przymioty poematu *O panu Czorlińscim*, napisanego w narzeczu kaszubskiem przez p. Hieronima Derdowskiego, który jest dzieckiem ludu, co od wieków w swoim przymorskim zakątku, wśród okalającej go germańszczyzny zachował swą polską odrębność i poczucie jedności z całością etnograficzną, do które należy jako typowa jej cząstka.

Autor nie wznosi się tu ponad umysłowy jego poziom, nie tworzy w celach pedagogicznych, nie moralizuje ani apostołuje, ale staje na gruncie opisywanego życia, na gruncie pojęć a nawet przesądów kaszubskich.

Możność stworzenia takiego poematu świadczy o niezwykłej sile, z jaką na umysł działają wrażenia sfery społecznej, w której wyrósł twórca, gdyż autor potrafił tak doskonale zapomnieć o wrażeniach i pojęciach, jakie zaszczepiły się w jego umyśle podczas kształcenia się i przebywania po za sferą kaszubską, zdołał z miejskiego literata zamienić się na „Igorza" (pisarza) ludowego. Przedmiotem poematu jest odyseja rybaka Czorlińsciego, który z Chmielna wybrał się do Pucka, głównego kaszubskiego miasta, po sieci i po drodze doświadczył rozmaitych ciekawych przygód, dzięki czarom, które zaszył w jego „kapuzie" czapnik Szmul, mszcząc się za jakąś urazę. Opowieść zaczyna się bardzo ładnym a prostym opisem odjazdu bohatera z domu:

Widzę go jok w dłudzim płoszczu ju zaprzęga konie
Jok schylony ze sedzenio daje gębe zonie.

— Ostań z Bodziem, moja bjadko[1]) nie czos dłuzy [zwlekac
Łod na błotach, secy nema, czas sę swiat wenekać[2])
Tak powiada pan Czorlińsci, trzasko-tej z batoga
I ju pędzy, gdze do Pucka, Chmnielna jidze droga.
Ona wrota zamykając chustką łze ocero
Ijesz[3]) długo za nim teskno z za płota wezero,
Potym jidze do koscoła, klęko na kolana
I sę modli przed ołtarzem za swojego pana:
Be szczesliwie ze secami z Pucka domu wroceł,
Ne zarwoł się gdze na błoce albo nie wewroceł.
Tej zwołała wrzescie bobe, co w koscele bełe,
Dała każdy po srebniku, be pocerz mowiełe
Za reboka Czorlińsciego co jachoł po sece[4])
Be go jakie tam nieszczesce niespotkoło w świece
Porę razy ciej jesz do dnia bjegła na rorote
Wzęna w płachce też ze sobą chleba mnodzie brote[5])
I każdemu ubodziemu po poł brota dała
A za chłopa kochanego modlec się kazała...

W tym tonie prostaczym, czasem rubasznym a niekiedy serdecznym, „łgorz“ opowiada dalej żałość pani Czorlińsciej, która odbiera list od swego małżonka, siedzącego w areszcie w Conowie, gdzie się dostał po różnych tarapatach. List ten, realnie biorąc, za długi na korespondencyę rybaka do żony, opowiada pierwszą część odysei p. Czorlińsciego, który źle na tem wyszedł, że podjął się przewieść żydów do Conowa, a gdy po drodze aresztowali jego pasażerów za jakąś burdę, on sam dostał się potem do kozy posądzony o kradzież żydowskich rzeczy. Opis ten obfituje przeważnie w komiczne epizody, których materyałem są swary wiezionej przez furmana semickiej gromadki. Od humorystyki autor następnie przechodzi do poezyi, kładąc w usta Czorlińsciej, kołyszącej dziecko prześliczną piosenkę, napisaną na temat ludowy, pełną poezyi i rzewnego uczucia. Następnie przenosi słuchacza w sfery nadprzyrodzone na *Łysą Górę* przy Gostomiu, gdzie Smętek, król djabłów kaszubskich, spotyka się z Morą djablicą, która w postaci wrony miała dręczyć żonę rybaka, ale rozczulona jej piosenką nad kołyską dziecięcia, zakrakała jej we śnie dobrą wróżbą. Smętek miał moc nad Czorlińscim od owej chwili, gdy Szmul czapnik zaszył w nowo kupioną kapuzę „piekielnego mola,“ ale djable zamiary paraliżuje święty Michał z Borenków, który go przepłoszył w chwili, gdy chciał Czorlińsciego przywalić z góry wielkim głazem. Tak więc w wędrówce rybaka kaszubskiego spotykamy bezpośrednią interwencyę sił nadprzyrodzonych, zupełnie jak by w epopei, napisanej według wszelkich prawideł klasycznej estetyki. Kaszubski „łgorz“ nie tworzył jednak na kopyto szkolarskich przepisów, ale w duchu fantazyi ludowej połączył świat realny z nadprzyrodzonym bezpośrednimi węzłami, nadając całej opowieści fantastyczno-komiczny charakter.

W części drugiej poematu znajdujemy dalszy opis wędrówki rybaka, jak wydostał się z więzienia, dzięki pomocy żyda Bartka, który stał się jego przyjacielem. Część ta posiada najładniejsze ustępy, jak ów marsz kaszubski, śpiewany przez Czorlińsciego na nutę mazurka Dąbrowskiego, ludowa oracya drużby, zapraszającego na wesele, legenda kaszubska o Wandzie i Reterze księciu saskim, śpiewana przez córkę organisty, albo bardzo poetyczne wsłuchiwanie się Czorlińsciego w rozmowę dzwonów, których głos wieścił jego przyjacielowi Bartkowi odpuszczenie grzechów.

Trzecia część powieści opisuje spotkanie małżonków na weselu i koniec wyprawy p. Czorlińsciego do Pucka, najeżonej mnóstwem przygód, a kończy się opisem kary jaka spotkała Szmula, za czary, zadane w czapce bohaterowi, który przypadkiem w Chmielnie wyciągnął z wody trupa swego prześladowcy.

Pod względem treści, poemat ten istotnie jest pewnego rodzaju poetyczną encyklopedyą kaszubskiego życia, pojęć i zwyczajów. W ciągu swojej wędrówki bohater zwiedza całą ziemię kaszubską, wspomina o miejscowych zwyczajach, legendach i osobliwościach, a wszędzie okazuje silne poczucie polskości, nienawiść do wdzierającego się w ziemię słowiańską germanizmu. Pod tym względem poemat robi bardzo sympatyczne wrażenie, dając obraz siły odpornej tego ludu, który odcięty od ruchu cywilizacyjnego, stoi wiernie przy tradycyi swojskiej, spotęgowawszy swe odrębności etniczne. Znajdujemy tu w różnych szczegółach charakterystykę tej tradycyi, która z jednej strony sięga mroków legendy przeddziejowej, splata się z żywo przechowywanemi wspomnieniami dziejowemi, a oparta na gruncie mocno religijnym, wieńczy się szeregiem odrębnych wierzeń fantastycznych. W obec bijącego w wielu miejscach poematu tętna miłości kaszubów dla wszystkiego co polskie, niemiłym rozdźwiękiem jest jeden szczegół w opowiadaniu Czorlińsciego o niezbyt gościnnem przyjęciu, jakiego doznał w Warszawie, gdzie go nie uznano za brata. Szczegół ten może dawniej był prawdziwym, gdyśmy jeszcze niedosyć znali etnografię ludu naszego; jednakże od czasów ostatniego głodu na Szląsku, Warszawa dowiodła, że jest ogniskiem sympatyi, obejmującej swem ciepłem i światłem wszystkie zakątki ziemi, gdzie tylko kwitnie polska mowa. Dla nas poemat p. Derdowskiego właśnie przez to ma wartość, że jest tak wiernym, tak prawdziwym a niepodrobionym płodem polsko-kaszubskiego ducha. Cały materyał, użyty do kompozycyi, jest tak nawskroś rodzimy, wszystkie pomysły i szczegóły tak typowe i charakterystyczne, że pomimo najstaranniejszej analizy szczegółów niemożna znaleźć miejsca, w którem by czuć było podrobienie, lub nieutrzymanie jakiego szczegółu we właściwym tonie. Cały wątek jest tu tak naiwny i prosty, jakby go wysnuł wiejski bajarz przy kominie. Niektóre epizody komiczne, jak np. owa kanonada do Czorlińsciego, odzianego w końską skórę, albo schwytanie djabła na pasek św. Antoniego, rażą umysł wykształcony zbytnią trywialnością, a czytając całość poematu trzeba się dobrze myślą dostroić do opisywanej sfery. Cały pogląd na świat jest tu prostaczy, pierwotny, zatrzymujący się na zewnętrznej stronie wypadków, niesięgający głębiej w przyczynowość czynów i uczuć ludzkich. Znać tu umysł ludowy, będący w pierwszej fazie rozwoju, wiernie chwytający wrażenia otaczającego świata, skłonny do opisowości bardziej niż do refleksyi, która pojawia się tylko w formie maksymy praktycznej albo gotowego morału. W ciągu opowiadania wybitnieją przedewszystkiem wypadki, ludzie zaś schodzą na drugi plan, gdyż autor mało uwagi kładzie w ich bliższą charakterystykę. Główna tylko postać ukazuje się przed oczyma naszemi w całem bogactwie cech lokalnego typu, oddanych trafnie i charakterystycznie. Pan Czorlińsci jest w całem znaczeniu „urodlewym kaszubą,“ jest naturą prostaczą, szczerą, szlachetną, upartą, energiczną i przebiegłą—prawdziwie pokaszubsku. Postać ta zresztą zwyczajna, realna, ma sympatyczne rysy serdecznego przywiązania dla żony, ma zdrowy rozum, głębokie uczucie patryotyczne, wyrobione w biernej walce z germanizacyą, ma swojego rodzaju fantazyą i humor, który zresztą obfitą falą rozlewa się po całej powieści, posiadającej mnóstwo pysznych krotofilnych epizodów. Oprócz tego pan Czorlińsci jest oszczędnym, przewidującym, czasami w zapale gniewu lubi się potuzać, jest wreszcie gorliwie religijnym w duchu czysto kaszubskiego katolicyzmu, który każe mu się cieszyć ze śmierci przyjaciela żyda, ponieważ ten utonął w jeziorze, poświęconem niegdyś przez biskupa Ottona, a więc *eo ipso* otrzymał chrzest w chwili śmierci i został omyty ze wszystkich grzechów. Małżonka Czorlińsciego okazuje także chwilami pewne rysy swego moralnego oblicza, jest wierną i kochającą, trochę czasami zazdrosną, przemyślną, oszczędną i energiczną; reszta jednak figur wprowadzonych rozpływa się w tle ogólnem opowiadania, trzymanego w tonie ściśle realnym i charakterystycznym, niezależnie od fantastycznych domieszek. Wyobraźnia ludowa kaszubska nieprzedstawiła się tutaj zbyt bogato, chociaż nic w tem dziwnego, gdyż zasila się obrazami dość jednostajnego widnokręgu przyrody i życia. Żywioł poetyczny błyska tu i owdzie w barwniejszem porównaniu, w postaci rzewnego liryzmu cechuje pieśni i legendy, na motywach ludowych oparte. Świat nadprzyrodzony nosi na sobie piętno odrębnych pomysłów antologicznych i nieodznacza się bogactwem, chociaż scena Smętka i Mory posiada pewien fantastyczny urok. Głównym urokiem, który nadaje pewien stopień artystycznego piękna tej powieści jest jej doskonałe, pełne werwy i swobody wierszowanie. Cały poemat jest napisany rytmicznym i rymowanym wierszem 14 zgłoskowym, składającym się z 7 trocheów ze średniówką po czwartej stopie: (—◡—◡—◡—◡//—◡—◡—◡—), a forma ta utrzymana w całości, bez zarzutu wydaje mi się doskonałą dla polskiej epiki wogóle, gdyż posiada szeroką potoczystość i rytmikę, odpowiednią muzykalnej naturze naszej mowy, płynie dźwięcznie a prosto, sprawiając wrażenie estetyczne nawet przy bardzo łatwem rymowaniu.

Dosyć twarda mowa kaszubska, która pod względem filologicznym, pomimo domieszek niemieckich, przedstawia wybitne cechy pokrewne dyalektowi wielkopolskiemu, płynie w tym wierszu wcale przyjemnie tokiem szerokiej a potoczystej gawędy. Całość kompozycyi ma za mało polotu, aby mogła się nazwać poematem, ale jest w każdym razie na małą skalę ludową, komiczno-fantastyczną powieścią, należącą do formacyi eposowej, pojawiającej się w młodości umysłowego życia danego ludu. Skromne, zacieśnione życie ustronnego plemienia, oddanego rybactwu, nie mogło wydać bohaterów homerowskiej epopei, albo rapsodów serbskich, czeskich i ruskich, nie mogło stworzyć poezyi, któraby odbijała szeroką panoramę stosunków. Pomimo ogromnej jednakże ilościowej różnicy materyału i sfery duchowej, pomimo drobnego zakresu działania, spotykamy tu jednak podobieństwo cech gatunkowych, które każą nam powieść „O panu Czorlińscim“ zaliczyć do płodów czystej, samorodnej epiki, powstałych naturalnie w danym momencie życia ludowego a nie tworzonej sztucznie, na mocy teoretycznych przepisów.

Istnienie takiego utworu w dzisiejszej epoce jest zjawiskiem ciekawem dla badacza literatury, tłomaczy się tylko genezą czysto ludowej twórczości, ukazując naocznie w jakim momencie rozwoju duchowego społeczeństwa zrodzić się może niepodrobiona a żywa poezya tego gatunku. Potrąciliśmy tu wybitnie rysy podobieństwa skromnej ale pięknej powieści kaszubskiej do utworów daleko wyższe zajmujących stanowisko w dziedzinie poezyi. Zestawienie badawcze takich wspólności i podobieństw, niezależnie od różnicy epiki i dziedziny, w której poezya powstaje, może naprowadzić na pewne stałe prawa *rozwoju* poezyi i stopniowej *przemiany jej gatunków*. Podobne jednak badania utworów piękna ze stanowiska najnowszych pojęć filozoficznych jest jeszcze nierozpoczętem. Może przyszłość stworzy nam naukę „literatury porównawczej,“ która łącznie z psychologią fantazyi zbiorowej i indywidualnej powinna pewniejszem światłem rozjaśnić za-

1) *Bjadka*—pana, białogłowo, młoda żona.
2) *Wenekac*—wypędzić, wydalić się.
3) *Jesz*—jeszcze.
4) *Sec*—sieć.
5) *Brot*—bochenek.

gadkę twórczości, aniżeli wszystkie estetyki, zbudowane z mglistych teoryj i pustych frazesów.

J. Kotarbiński.

STUDYA ESTETYCZNE*)

(Wojciecha Dzieduszyckiego).

Cechą pracy, nad którą zastanowić się mamy, jest jej oryginalność, polegająca nie na nowości i śmiałości poglądów lub świetnej formie, ale raczej na bezpośredniem i samoistnem badaniu dzieł przez autora opisywanych. P. D. wyznaje, że mówi o rzeczach, którym własnem okiem się przypatrywał; dla tego też pisząc o utworach sztuki europejskiej, pominął Anglię i Hiszpanię, jako mu pod tym względem mniej znane. Podobna sumienność zasługuje na wysokie uznanie. Dzięki jej nawet, autor poprzestaje prawie wyłącznie na własnych sądach i wciągu całej swej pracy nie powołuje się na żadne naukowe i artystyczne powagi, nie czyni żadnych krytycznych porównań i raczej rzecz wysnuwa wprost z własnej obserwacyi.

W świeżo wydanym tomie II mieszczą się trzy rozdziały: *sztuka wenecka, sztuka chrześciańskiego Rzymu* i *sztuka nadreńska.* Autor, zastanawiając się nad pierwszą, dochodzi do przekonania, że została ona poczętą nad Bosforem i że swój rozwój w latach niemowlęcych zawdzięcza architekturze bizantyńskiej. Sztuka wenecka nie posiadała idei, nie posiadała owego poczucia linii, co florentyńska, wykołysana na wzorach klasycznego Rzymu. Dość obszernie zastanawia się p. D. nad bizantyjskim kościołem Św. Zofii, który zrodzić miał ś-go Marka w Wenecyi. Jest to, według niego, najpoważniejszy objaw wpływu sztuki bizantyńskiej na wenecką. Ostatnia, naśladując pierwszą, zwróciła się przeważnie do zewnętrznej strony artystycznego tworzenia i wydoskonaliła się w kolorycie, nie doszedłszy nigdy do orginalnej idei wewnętrznej, a najwięksi jej mistrze, jak Tycyan i Paweł z Werony — są najświetniejszymi kolorystami.

Do pewnego tylko stopnia słusznem jest zapatrywanie autora, chociaż zaznaczyć należy, że nie jest ono nowem. Zauważymy tylko to, że p. D. do wyników swoich dochodzi po akademickiej posadzce i dla tego poglądom jego brak szerszego gruntu i rozleglejszych widnokręgów. Jakkolwiek bowiem niepodobna sztuce bizantyńskiej zaprzeczyć wpływu na wenecką, należy jednak przyjrzeć się wpływom innym, ciągłej i bezpośrednio działającym. Działały tu czynniki domowe, społeczne i polityczne. Kupiecka arystokracya królowej Adryatyku, lubująca się, jak zwykle arystokracya, w zmysłowych, zewnętrznych formach, w przepychu i zbytkach, była nader ważną artystyczną klientelą weneckich malarzy. Atmosfera tak silna i tak wszechwładnie rozpostarta w weneckiej społeczności, musiała z odpowiednią mocą oddziałać na miejscowych artystów. Dla tego też ani szkoła ateńska Rafaela, ani Mojżesz Buonarottego nie mogły powstać nad brzegami adryatyckiej zatoki. Przypisywanie sztuce bizantyńskiej przeważnego wpływu na weneckie malarstwo jest nader jednostronne i niedostateczne; miała się ona tak do weneckiej sztuki, jak pierwotna asyryjska Astarte do pięknej klasycznej Wenery.

W sztuce chrześciańskiego Rzymu udało się autorowi być ściślejszym, i z wyjątkiem niektórych chybionych wycieczek, rzuca p. D. kilka trafnych uwag, kreśląc w formie jasnej i przystępnej rodowód rafaelowskiego geniuszu i jego szkoły. I tu jednak, podobnie jak fantazyjni komentatorowie Szekspira, objaśnia autor intencyerzymskiego mistrza w sposób arcyidealny, uogólniając zbyt szeroko myśli jego obrazów. Oto, co między innemi powiada: „I na tem się skończył drugi okres rafaelowskiego malarstwa, w którym malował ideał życia człowieka i ludzkości.“ Przy końcu swojego studyum o sztuce chrześciańskiego Rzymu, rozróżniając właściwą epokę Odrodzenia od następnego skażonego albo raczej zmiękczonego smaku za Carla Dolce, czyni uwagę, że tych „głębokich różnic przyczyna nie leży w różnicach organizmu fizycznego, bo ludzie, co wymagali tak różnego piękna, do jednego należeli narodu, mieli jeden kąt ciasny, jedną krew w żyłach i pod jednem żyli niebem. Czysto duchowe tedy przyczyny wytłomaczą nam ową zagadkę.“ Co ma właściwie znaczyć ten filozoficzny argument? Arcydzieła rzymskie i florentyńskie były owocem odrodzenia nauk klasycznych i odnalezienia starożytnych wzorów sztuki, które rzuciły nowe światło w niepospolite umysły ówczesne. Skoro genialni ludzie spełnili swe zadanie, nastąpiła zwykła w podobnych razach, epoka maniery i upadku. Jest to objaw naturalny, gdy talenta mniejsze odziedziczają po swych poprzednikach świetne wzory, którym dorównać nie mogą, nie odziedziczywszy ich wewnętrznych sił i zasobów. Dlaczegóż więc różnice dwu po sobie następnych epok nie leżały w różnicach „organizmu fizycznego“ lub w czysto „duchowych przyczynach?“ Były one wypływem *naturalnych* przyczyn. Działalność nasza wśród sprzyjających okoliczności dochodzi do pewnych możliwych wyżyn, z których musimy następnie schodzić. Więc obniżenie artystycznych produkcyj w następnej epoce nie było wynikiem — jak chce autor — różnego trybu życia i stopnia wykształcenia, gdyż ów różny tryb i stopień wykształcenia podobnie, jak i sam upadek sztuki, były wspólnie następstwami nieuniknionych, naturalnych przyczyn i praw.

Wogóle zauważyć trzeba, że studya estetyczne p. Dzieduszyckiego są przepełnione frazeologią, która zbyt unosząc samego autora, często nie dozwala mu dokładnie wnioskować i rozróżniać przyczyn od skutków.

Szczegółowo zastanawiał się on nad genezą gotyckiej architektury i dokładnie objaśnia Rubensa i Van Dycka w sztuce malarskiej. Nie wiemy tylko, dla czego tak po macoszemu obszedł się ze *Strażą nocną* Rembrandta, która słusznie uchodzi za arcydzieło tego malarza. Pierwiastek fantastyczny, który autor tak lekceważy w tym obrazie i od którego się odwraca, wzruszając ramionami, stanowi właśnie niezwykłą orginalność malarskiego dzieła i wrażliwego widza pociąga ku sobie jakimś tajemniczym, niewytłomaczonym urokiem. Twórczej wyobraźni ludzkiej niepodobna stawiać granicy. Może obraz rodzajowy wyższym jest od zwykłego portretu a utwór o jakiejś wielkiej historycznej, religijnej lub społecznej idei wyższym znów od rodzajowego lub pejzażowego płótna; lecz czemuż koniecznie religijne lub historyczne malarstwo ma być ostatnim wyrazem artystycznej twórczości człowieka? Jeśli narodzi się mistrz, któremu w dotychczasowych, choćby najszerszych ramach za ciasno, w którego głowie chodzą jakieś marzenia, wysnute z rzeczywistości a przecież od niej różne, niemożliwe do uchwycenia, zapożyczone jakby z *Tysiąca i jednej nocy*, sprawiające niezwykłe wrażenie i niezwykłością tą przyspieszające bicie naszego serca, gdy marzenie podobne zostało przeniesione na płótno z czarem rembrantowskim, raz jeden w historyi malarstwa — o dziele takiem niepodobna wyrazić się, że posiada sztuczne i nienaturalne efekta. Jak malarstwo religijne jest zmodyfikowanem odbiciem rzeczywistości, podobnież też i *Straż nocna*, chociaż oparta na sytuacyi realnej, podniesiona jest do niezwykłości artystycznej fantazyi, mieniąc się jak tajemnicze wnętrze dyamentowej kopalni.

Nie myślimy dowodzić, że *Studya estetyczne* nie przynoszą czytelnikowi pożytku. Autor uchwycił najważniejsze punkta swego przedmiotu, przybrawszy go w ujmującą, chociaż nieraz zbyt manierowaną formę.

Kończąc sprawozdanie o tej pracy, wyrazić musimy zdziwienie, dla czego nasi estetycy tak niezmordowanie obrabiają malarstwo europejskie zwłaszcza dawnych szkół, a tak po macoszemu obchodzą się z własnem, które w ostatniem dziesięcioleciu zajęło piękne stanowisko w sztuce europejskiej. Prócz dorywczych artykułów i sprawozdań nie posiadamy w tym kierunku prawie żadnej obszerniejszej, syntetycznej pracy. Skreślić parę tomów o epoce Odrodzenia, o której tyle napisano, rzecz nie tak trudna, lecz i dla czytelników obecnie już mniej ponętna, zwłaszcza jeśli poglądy nie posiadają żadnych cech nowych i oryginalnych. Mamy zaś prawo żądać od autorów naszych, rozporządzających estetyczną wiedzą, aby zwrócili się do sztuki polskiej, która może jako nowa nowe przedstawić trudności, lecz także nowe otwierać widnokręgi.

Zgliński.

*) Lwów 1881, tom. II.

LIBERUM VETO.

Ograniczenie swobody JW. i WPanów. — Kto temu winien. — Dzikie pretensye w imieniu muzeów, kas i pomników. — Portrety przewodników narodu. — *A propos.* — Zapis księdza Smoleńskiego. — Koncert telefoniczny. — Oczekiwanie nowego wynalazku. — Przymusowe ubezpieczenia od gradobicia.—Szmerek.— Pozwanie *Prawdy* przez p. Moszyńskiego. — Jego domyślność i związek z kodeksem. — Denuncyacya zamiast dyagnozy. — Sens moralny, rada i zapytanie.

Macie JW. i WPanowie najzupełniejszą racyę: rzeczywiście nastały tak niegodziwe czasy, że chwilami człowiek wątpi, czy mu wolno zakręcić się na własnym obcasie. Kto to dawniej słyszał, ażeby pan, który ma na to, nie mógł zapalić cygara 25 rublowym papierkiem lub wyposażyć milej cyrkówki? A jednak dziś, gdy się znaleźli tacy w Warszawie, tłum, czyli tak zwana inteligencya szemrze na marnotrawstwo, na rozpustę i t. d. — jak gdyby podobne szemrania nie były czystym socyalizmem. A kto temu winien? Rozmaite muzea, kasy pożyczkowe, pomniki, kurpie i tym podobne koncepty prasy warszawskiej. Jakie prawo ma pierwszy lepszy gazeciarz rozporządzać cudzą kieszenią? Jeśli się panu Fiuckiemu podoba, to sam sprawi pomnik Mickiewiczowi, a jeśli mu się nie podoba, to nie da mu nawet rozbitej osełki a jednocześnie sprawi miss Fikaj sobolową salopę.

Jak dzikie ludzie czasem mają pojęcia o tak zwanych powinnościach obywatelskich przekonywa fakt następujący. Dr. Adryan Baraniecki założył w Krakowie znane Muzeum, w którem utopił wszystkie swoje fundusze. Jakkolwiek za te pieniądze można by się lepiej zabawić, wolną była jego wola; nie o nią idzie. Bieda w tem, że hojni szafarze z cudzej kieszeni pragnęliby wypróżnić wszystkie magnackie sakiewki na korzyść tej instytucyi. Dr. Baraniecki jest człowiekiem grzecznym i umie szanować ludzi, których Opatrzność wybrała do przewodniczenia narodowi; ile razy więc tacy pojawią się w Krakowie, on ich zaprasza do zwiedzenia Muzeum, opowiada, pokazuje, oni mu dziękują, wytrwałość jego chwalą, ale czy przodownikom narodu może przyjść na myśl, że za ten zaszczyt mają zapłacić? Tymczasem zaledwie który z nich wsiędzie do karety i ukłoniwszy się p. Ba-

ranieckiemu, odjedzie, zaraz gwałt, że nie nie dał. Albo to jego muzeum? Gdy on stajnię założy, z pewnością nikogo nie prosi, ażeby jego koniom owies kupował.

O tej natarczywości przekonała nas również t. z. kasa pożyczkowa dla robotników. Kiedy ogłoszono na nią składki, ktoś rzekł:

— Cóż to, same Nalewki nalewają do waszej skarbonki...

— Arystokracya się nie spieszy — odparł patron kasy — czeka, ale wiem, że przygotowuje znaczne datki.

I wystawcie sobie naiwni ludziska byli najmocniej przekonani, że lada dzień otworzą się upusty pańskie i spadnie z nich rzęsisty deszcz złoty a co najmniej papierkowy na spieczoną niwę kasy robotniczej. Dziś dopiero widzą swoje grube złudzenie, którego osłonki zakrywały im tę prawdę, że kogo Opatrzność zesłała dla przewodniczenia narodowi, ten nie może zajmować się jedną jego klasą.

Z tego samego zawodu płyną obecnie sarkania na naszych JW. i Wielmożnych Panów. Chciwym na cudzy worek opiekunom rozmaitych kas, muzeów, pomników, stypendyów i tym podobnego wydrwigroszowstwa zdawało się, że zgromadzeni na wystawie, wyścigach i jarmarku wełnianym obywatele upamiętnią swój pobyt jakimś aktem dobroczynnym, jakąś ofiarą na ołtarzu dobra publicznego. Łatwo to powiedzieć, ale trudno wykonać tym, którzy zapalają cygara banknotami, utrzymują na czas bytności w Warszawie po dziesięć karet lub wyposażają woltyżerki. A niepodobna przecie, ażeby człowiek, powołany do przewodniczenia narodowi, zapalał cygaro zwykłym fidibusem, ażeby jeździł jedną karetą i nie okazał swej hojności dla demisyonowanej cyrkówki, która pojedzie w dalekie kraje i tam o nas opowiadać będzie.

A propos, żebym nie zapomniał. Jeden z dobroboczyńców miss Fikaj potrzebuje pożyczyć kilkaset rs. na dwudziesty numer hipoteki. Ktoby więc mógł mu zrobić tę grzeczność za dobry procent, niech się zgłosi na plac wystawy do tego pana, co ustawicznie przesadza przeszkody na pięknym wierzchowcu.

Idźmy dalej. No, i w powiecie zdarzają się jednak ludzie, którzy zamiast sprowadzać stangretów z Francyi i Anglii, zapisują swe pieniądze na użytek publiczny. Tak właśnie zrobił ksiądz Ignacy Smoleński, proboszcz parafii Sikorz (w Płockiem), który za życia (podwójne dziwactwo!) ofiarował procenty od 7,500 rs. uczącej się młodzieży i biednym, zostawiwszy na opłatę modłów za własną duszę tylko 12 rs. rocznie. Cały ten zapis, który jest dziś tak rzadkiem zjawiskiem w sferze, należącej jednak do zamożniejszych, zadziwia jeszcze bardziej skromnością swej ostatniej pozycyi. To też zapewnie obdarowani wzruszają ramionami. A jak niemi wzruszać musi JW. Fiucki i jemu podobni, tyle potrzebujący na zagranicznych stangretów, banknoty do cygar i woltyżerki! Za 7,500 rs. możnaby kupić karetę i parę koni, którąby warto było przejechać się po placu wystawy i otrzymać bodaj głęboki ukłon od posłańców publicznych.

P. Machalski urządził w Resursie Kupieckiej i Ratuszu popis własnego pomysłu przyrządów telefonicznych, które bardzo wyraźnie i silnie przenosiły śpiew lub muzykę do sal obu. Zwłaszcza trąbka i flet przesyłały swe dźwięki bardzo czysto. Dopiero przy powtarzaniu śpiewu pani Dowiakowskiej biedny telefon (a właściwie mikrofon) aż ochrypł. W każdym razie było to ciekawe widowisko, które jednak... nie odebrało ani jednego koniarza totalizatorowi. Obie sale objęły bardzo nieliczną grupkę widzów. A szkoda, bo gdyby p. Fiucki usłyszał był sztukę telefonu, możeby zamiast dwu furmanów z Anglii sprowadził tylko jednego a natomiast połączył drutem swój pałac w Padaczce z Teatrem Wielkim i zapomocą aparatu telefonicznego bawił gości w salonie operą warszawską i komedyą. A może p. Fiucki, uwierzywszy zapewnieniu technika *Prawdy*, że niedługo będziemy, dzięki drutom, *widzieć* ze znacznych odległości, oczekuje tego nowego wynalazku, ażeby zaprowadziwszy go u siebie na wsi mógł napawać się widowiskiem wyścigów konnych lub skoków miss Fikaj w Warszawie. Kto wie!

Kto wie również, czy gazety rosyjskie, uprawiające zawzięcie jałową niwę reform, nie doniosą nam pewnego dnia, że *Now. Wremia* zamknęło swój kramik, w którym sprzedaje talizmany, zabezpieczające od „polskiej intrygi.“ Bo oto, gdy niedawno upadł projekt założenia w Warszawie towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia, upewniają, że ma być wydane prawo przymusowych ubezpieczeń od gradobicia. Ponieważ zaś takiej instytucyi rządowej u nas niema, więc gdzież będziemy się ubezpieczali. W prywatnem Towarzystwie Moskiewskiem? przymusowo? Darują nam organa dobrze poinformowane, ale to byłoby... *zu stark*.

Prasa nasza zaczyna wypłacać należność za gradobicie, którego ofiarą stał się nieszczęśliwy, pięć miesięcy niewinnie więziony starzec,—oficyalista bankiera Landaua—Szmerek. Jak wiadomo, został on napadnięty i ograbiony ze 150,000 rs., które miał odnieść na kolej. Podejrzanego o podstępne skradzenie tej sumy osadzono w więzieniu, a niektóre dzienniki odspiewały egzekwie nad jego moralnym grobem. Tymczasem rabusie schwytani — Szmerek uwolniony. Biedny człowiecku; na sumieniu naszego pisma nie ciąży ani jeden wyraz posądzenia cię o zbrodnię; skoro jednak krzywda, wyrządzona ci, jest wielką, przyjm i od nas słowo szacunku dla twej uczciwości, którą umiałeś utrzymać a los ci pozwolił ją okazać nam niepokalaną.

Słówko o fałszywej denuncyacyi w procesie własnym.

W imieniu p. Moszyńskiego, autora rozbieranej w zeszłym numerze broszury, *Wiek* doręczył *Prawdzie* we wtorek pozew przed sąd publiczności o to, że:

1) „przewodnia myśl została przez krytyka przedstawiona tendencyjnie w fałszywem świetle.“

Gdzie jest tendencya, tam musi być cel; otóż nie mógłby nam p. Moszyński, jak zobaczymy niżej, nad potrzebę i obowiązek domyślny, powiedzieć, jaki mogliśmy mieć cel tendencyjnego zmieniania jego myśli? Treść broszury przytoczyliśmy w jej ustępach dosłownych; jeżeli więc nasze wnioskowanie było błędnem, to czytelnik mógł je łatwo na nich sprawdzić. Ale czy było błędnem? „Gdzie szan. krytyk — pyta autor—znalazł w mojej broszurze *łajanie* sługi (Galicyi) za to, że dąży do zajęcia najwyższego stanowiska u swego pana (Austryi)?“ Doprawdy, p. M. szczerze chciał, ażebyśmy zapomnieli o jego pracy, kiedy o niej sam zapomniał. Cała bowiem jego broszura jest polemiką z *Czasem* i *Przeglądem Polskim* o to, że pisma te chciały popchnąć Austryę do wojny. A jakkolwiek one mówią ciągle tylko o zajęciu przez sługę najwyższego stanowiska u pana i ani jednem słowem nie wspominają, nawet w przytoczonych wyjątkach, o „samodzielności“ lub „niepodległości,“ autor niby odsłaniając ich zdradę, krzycząc, że „dmą w trąbę sprawy polskiej i cieszą się nadzieją niezależnego(!) państwa polskiego,“ ciągle je łaje i jak łaje: „Postępujemy, jak zrujnowana nierządnica, która zamiast wejść w uczciwe małżeńskie związki... żyje na wiarę z adwokatem, by za jego pomocą wyprocesować stracony majątek i porzucić go, gdyby się korzystniejsze odkryły gdzieindziej widoki.“ Mamyż tę przenośnię nazwać grzeczną? I gdyby ona miała przynajmniej jakąś podstawę oporę i nie polegała na domysłach, na dowodzeniach *a contrario*, na dopełnieniach myśli przeciwnika! Jak daleko autor posuwa się po tej drodze, wskaże jeden przykład. *Czas* pisze: „Nikt wypadków przewidzieć nie może; mogą nastąpić zmiany, które nam wskażą inne stanowisko. Ale tak jak dziś rzeczy stoją, obowiązek, interes nasz i polityka żądają zarazem, abyśmy byli Austryi pomocą, nie zaporą.“ W kraju konstytucyjnym, uprawniającym opozycyę przeciwko rządowi, oświadczenie takie nie jest, zdaje się, karygodnem. Ajednak posłuchajmy, co na nie p. Moszyński odpisuje: „*Czas* wypowiada tu zasadę, która prowadzi wprost do zbrodni stanu, przewidzianej w § 58 i t. d.“ Lojalność, do której by może c. k. prokuratorya się nie wzniosła. Już to autor nie rozstaje się ani na chwilę z kodeksem kryminalnym, i z chęcią dostarczenia mu podsądnych. Wszędzie widzi knowania, walenrodyzm, zdradę. To też jego broszura dla nas, mieszkańców Królestwa, jest tylko polityczną broszurą, ale w stosunku do galicyan, polityczną denuncyacyą. Bo i jakże inaczej nazwać stokilkodziesiątstronnicowe oskarżenie, dowodzące wnioskami pośrednimi, że nawet ta partya, która się uważa za podporę tronu, ciągle spiskuje, zdradza zaufanie rządu, chcąc strącić monarchię w przepaść i na jej zgrybie zbudować własną niepodległość? P. M. sądzi zapewnie, że to dyagnoza, a tymczasem to tylko denuncyacya i przytem fałszywa.

Ten rys znamienny piśmienniczego charakteru autora uwalnia nas od potrzeby osobnego ochrzczenia próbek jego domyślności względem *Prawdy*. Zmierzająca ustawicznie ku kodeksowi igła magnesowa logiki p. M., wskazuje:

2) że „czujemy ból serca za czasami kociej muzyki“ i chcielibyśmy „dla popularności oprzeć przyszłość (Galicyi) na *nielegalności*, anarchii i *lekceważeniu praw*.“ Jeżeli za niewinne słowa „szczery przyjaciel“ uczęstował stańczyków zarzutem zbrodni stanu, to chyba z nami nie potrzebował sobie robić żadnej ceremonii. Nie przeszkadza to nam wszakże zauważyć, że zanim p. Moszyński narodził się dla zbawienia Galicyi w literaturze, myśmy już kreślili naszemu społeczeństwu drogę pracy i rozwoju, wolnego od politycznych złudzeń; że w pierwszych numerach *Prawdy* wypowiedzieliśmy nasze obywatelskie *Credo*, że wreszcie w tym samym numerze, który p. M. dostarczył materyału do nowej denuncyacyi, rzekliśmy wyraźnie: „Każdy głos *otrzeźwiający* społeczeństwo, zajmujący rozproszoną po Europie i żebrzącą łask po jej dworach rzeszę polityków awanturniczych do kraju, do pracy, każde wskazanie *maligny* i *uprzytomnienie rzeczywistości* jest zarówno dla Galicyi jak i dla nas bardzo *pożądanem*. ...Posuwajmy się ustawicznie, dopóki tylko grunt *uczciwości* i *prawności* starczy.“ Gdzież tu jest wzywanie do „nielegalności“ i „lekceważenie praw?“ Jeżeli zaś p. M. z nagannych słów naszych o nim wywnioskował, że wypowiedzieliśmy je „dla popularności,“ to my z równem prawem możemy przypuścić, że on swoją broszurę napisał dla zyskania jakiejś posady w austryackiej prokuratoryi.

Sens moralny:

P. M. skosztowawszy własnej „myśli przewodniej,“ która mu w roztworze gadaniny wydawała się smaczną, gdyśmy mu ją podali w stężeniu, poczuł gorycz, posądził nas o sfałszowanie jego produktu i zadenuncyował.

Rada:

Niech autor rozstanie się z tą metodą objawiania swej „miłości ojczyzny,“ której „warszawska uprzejmość“ uszanować nie może. Wreszcie, niech dla względów, już nie patryotycznych, ale czysto logicznych nie wymaga od swych ziomków złożenia przysięgi na jego program „w najodleglejszej nawet przyszłości,“ choćby dla tego, że ani oni, ani może Austrya w tej najodleglejszej przyszłości żyć nie będą. Cobyśmy

dziś powiedzieli o takim proroku, gdyby on był żył w Prusach za Zygmuntów? Człowiek, który radzi: powstańmy przeciwko Austryi i załóżmy niepodległe państwo — jest waryatem; ale człowiek który *marzy*: gdyby Galicya stała się kiedyś tak wielką, jak monarchia Karola W-go, nie jest zbrodniarzem — mimo § 58 w kodeksie austryackim. Jak niema jednostki, tak niema narodu, któryby nie marzył o wielkości. To mu wolno. Inna rzecz gdy ją chce zdobyć gwałtem i niebezpieczną awanturą... Nakoniec mała zagadka: p. M. przy tytule naszego pisma postawił znak zapytania; przy jakim tytule autora my winnibyśmy znak ten wodwet umieścić? *Poseł Prawdy.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 czerwca.

We Lwowie odbyło się dnia 19 b. m. zebranie wyborców, na którem posłowie lwowscy do rady państwa: dr. Smolka i dr. Wolski zdawali sprawę z wypełnienia swych mandatów. Podamy tu krótkie streszczenie przemówień obu posłów, zwłaszcza Wolskiego, którego relacya rzuca interesujące światło na stosunki polityczne austryackie wogólności a Galicyi poszczególe. Mowa Smolki nie przedstawia nic ciekawego. Jako marszałkowi Izby nie wypada mu krytykować działalności stronnictw, a przeto prosił zebranie, aby go od tego, co się właściwie zdaniem sprawy zwać może, uwolniło. Zrobiono chętnie to ustępstwo sędziwemu mężowi stanu, którego poselska działalność na krześle marszałkowskiem właściwie skończyć się musiała. Natomiast mowa posła Wolskiego przedstawia nader interesującą krytykę polityki Koła polskiego i wogóle stosunków w przedlitawskim „reichsracie.“ Polacy — mówi dr. Wolski — „nie powinni byli kojarzyć się bezwzględnie ze stronnictwem prawa,“ ponieważ misyą ich było utworzenie liberalnego środka Izby, który istnieje we wszystkich parlamentach z wyjątkiem austryackiego. Zamiast wejść na tę drogę, koło polskie, zarówno bezwarunkowo połączyło się z prawicą jak bezwarunkowo dawało poparcie hr. Taaffemu w jego lawirowaniu „ponad stronnictwami.“ W tym kierunku Koło przeszło nawet pierwotnych, właściwych zwolenników Taaffego, t. j. owych 40 posłów niemieckich, którzy opuścili rząd i złączyli się z lewicą, a którzy wspólnie z polakami byli mogli utworzyć środek liberalny w Izbie. Tymczasem stronnictwo prawa i jego klerykalni przywódcy potrafili błędy nasze wyzyskać, opanować całą prawicę Izby i teroryzować ją poprostu. Tylko niezdrowym stosunkom parlamentarnym przypisać to można, że ten szczupły zastęp stał się tak wszechwładnym, że na polaków, czechów i na rząd decydujący wpływ wywiera. Doszło do tego, że ultramontanie prawicy przeciw sprzymierzeńcom własnym z groźbami występują i nieraz ich zostawili na koszu. Im też przypisać trzeba fakt, że pojednawcza polityka hr. Taaffego tak smutno dziś wygląda. W parlamencie wytworzyła się niepewna atmosfera, której sprawcami są panujący ultramontanie z ich wnioskami Lienbacherowskiemi, których zwycięstwo i Koło polskie będzie miało na sumieniu. Gdybyż to byli chociaż współplemienni sprzymierzeńcy! Ale partya prawa nie jest właściwie stronnictwem autonomicznem. Są to przedewszystkiem zwolennicy konkordatu i absolutyzmu, którym głównie o to chodzi, aby szkołę wydać w ręce kleru. I teraz polacy wracają z próżnemi rękami z Wiednia, bo ich sprzymierzeńcy w niczem dostatecznie nie poparli. Następnie mówca przedstawił zgubność słynnego wniosku Lienbachera o szkołach, który nawet Euzebiusz Czerkawski usilnie zbijał w Kole polskiem i ubolewa, że polskie głosy przeważyły na korzyść tego wniosku. Jeśli polacy dalej tą drogą pójdą, będą musieli zadowolić i inne jeszcze zachcianki ultramontanów. Ale nie powinniśmy kłamać naszym przekonaniom. Jeszcze jest czas, jeszcze z lewej strony Izby oderwałaby się część, w celu utworzenia liberalnego środka. Mówca przyznaje w końcu z ubolewaniem, że dla solidarności w Kole musiał nieraz głosować wbrew swemu przekonaniu. Taki jest bieg myśli w przemówieniu p. Wolskiego. Zebranie, na którem znajdował się także Hausner, uchwaliło jednomyślnie wotum ufności dla posła.

Rozjątrzenie między francuzami a włochami z powodu sprawy tunetańskiej, stłumione na widowni dyplomatycznej, znalazło sobie skromne wprawdzie, ale wymowne ujście — na ulicy. W Marsylii gdzie mieszka 70,000 włochów, przeważnie robotników, przyszło do krwawych bójek— których zakończenie w chwili gdy to piszemy jeszcze niewiadome. Sztylety, rewolwery, kilku zabitych, liczni ranni, jeszcze liczniejsi aresztowani — oto dekoracye tej awantury. A wszystko niby o szyderskie gwizdnięcie przed klubem włoskim podczas przemarszu wojska, które wróciło z wyprawy na Tunis. Urzędownie wypadki te nie będą miały poważnych następstw politycznych, ale i do polepszenia naprężonych stosunków francusko-włoskich z pewnością się nie przyczynią.

Kampanię wyborczą ze strony rządu rzeczypospolitej okrasił prezes ministrów Ferry mową wypowiedzianą w Epinal. Zawarł w niej program gabinetu względnie do wyborów. Wedle tego powinny one zmierzać do tego, aby zredukować liczbę posłów barwy monarchicznej i radykalnej a tym sposobem wzmocnić system umiarkowany. Grevego mówca bardzo wysoko podnosił, zwiąc go „mądrym między mądrymi.“ I Gambetta przemawiał w tych dniach publicznie na bankiecie tokarzy. Zastrzegł się, że nie jestto mowa polityczna, wszelako z pewnym przyciskiem rzekł, iż usiłowania, których odrazu nie uwieńczył dobry rezultat, muszą być tem gorliwiej podejmowane na nowo. Wyraźna to zapowiedź, że nie dał za wygraną, o czem zresztą nikt nie wątpi.

Parlament niemiecki skończył swój okres prawodawczy. Wybory przygotowują się. „Prowizorium“ ministeryalne w Berlinie również zakończono. Pan Puttkamer objął ostatecznie sprawy wewnętrzne, p. Gossler oświatę a p. Bötticher generalne zastępstwo kanclerza, który wyjeżdża na urlop do Kissingen. Wicekanclerz ks. Stolberg wziął dymisyę. *S. S.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Akademia. W Akademii umiejętności w Krakowie, odbyło się d. 31 z. m. posiedzenie wydziału filologicznego pod przewodnictwem dr. Estrejchera, na którem prof. Kazimierz Morawski przedstawił rozprawę p. Hanusza *O rękopisie listów Cycerona z XV wieku,* znajdującym się w bibliotece Jagielońskiej, a następnie czytał ustęp swej pracy o Andrzeju Patrycym Nideckim, filologu polskim z XVI wieku.

Konkurs. Paryska akademia nauk przyznała nagrodę Monthyon'a profesorowi Charcot za dzieło p. t. *Leçons sur les localisations dans les maladies du cerveau.*

Literatura polska. W wydawnictwie pedagogiczno-szkolnem księgarni p. Stanisława Arcta w Lublinie, ukazało się dziełko p. t. *Wychowanie dziecka włącznie do lat sześciu*, przez p. Henryka Wernica.

— Program *Przeglądu pedagogicznego,* dwutygodnika, mającego wychodzić od października r. b. pod redakcyą p. Eugeniusza Babińskiego, obejmie następujące działy: a) artykuły treści ogólnej w sprawach pedagogicznych; b) artykuły z zakresu historyi pedagogiki; c) artykuły z zakresu psychologii w zastosowaniu do pedagogiki; d) artykuły o higienie szkolnej; e) statystyczne i dotyczące metodyki szkolnej; f) oceny książek dla dzieci i podręczników szkolnych: g) sprawozdania z działalności pedagogicznej w Królestwie, Cesarstwie i zagranicą; h) ogłoszenia, dotyczące szkoły.

— *Dzieł* Lucyana Siemieńskiego tom piąty wyszedł z pod prasy i obejmuje dalszy ciąg *Portretów literackich.*

Literatura niemiecka. P. t. *Lesssings-Forschungen* ukazał się w Berlinie zbiór niedrukowanych dotąd krytyk i recenzyj Lessinga, pomieszczanych przezeń w różnych gazetach niemieckich.

— Gneist, *Die preussische Finanzreform durch Regulierung der Gemeinde-Steuern.* Berlin u Springera.

— Gustaw Hinrichs wydał świeżo w Berlinie: *Kleinere Schriften von Wilhelm Grimm.*

— Pod tyt. *Aus Sturm und Noth* wyszedł w Berlinie u Schorera ciekawy zbiór autografów i rysunków. Oprócz autografów wszystkich panujących niemieckich znajdują się w zbiorze tym autografy znakomitych pisarzy, uczonych i artystów niemieckich. Dochód z wydawnictwa przeznaczony został na korzyść niemieckiego towarzystwa ratowania tonących na morzu.

— F. Heinrich Geffcken, *Zur Geschichte des Orientalischen Krieges* 1853—1856.

— Miklosich dr. Franz, *Ueber die Mundarten und die Wanderung der Zigeuner Europas.*

— Schanz prof., *Englische Handelspolitik gegen Ende des Mittelalters.*

— Jerzy Ebers i Guthe, *Palästina in Bild und Wort.* Wychodzi zeszytami w Lipsku i Sztutgardzie.

— Wydawca sztutgarcki Spemann, puścił w świat pierwsze tomy taniego wydawnictwa: *Deutsche Hand- und Hausbibliotek.*

Literatura angielska. Crawford, James Coutts, *Recollections of travel in New-Zealand and Australia.* Jest to opowiadanie europejczyka, który, przebywając od lat 40 w Australi i N. Zelandii, był świadkiem wszystkich postępów, jakie czyniła cywilizacya w tej części świata.

Malarstwo i rzeźba. Najnowszy obraz Siemiradzkiego, przedstawiający *Tyberyusza na wyspie Capri*, wystawionym będzie na widok publiczny w wiedeńskim kunstvereinie.

Teatr. W Alhambra wystawiono pośmiertną komedyę w 3 aktach Aleksandra hr. Fredry p. t. *Ożenić się nie mogę.*

— W Eldorado wystawiono po raz pierwszy operę komiczną Lecocq'a p. t. *Piękna Persyanka.* Libretto pp. Leterier i Vanloo.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Z. L. w Petersburgu. Uwag pańskich nad wzmianką w *Liberum veto* o wystawie geograficznej nie pomieszczamy, gdyż one ją tylko potwierdzają. Mieliśmy głównie na myśli nasze *prace.* Że ubiory ludowe można i należy posłać, rzecz prosta; ażeby zaś takich wydawnictw, jak *Album widoków* Ordy i *Lud* Kolberga nie posiadała „żadna obca literatura“ — nie godzimy się. Przytoczone przez Pana publikacye włoskie, szwajcarskie i t. d. nie mają u nas nawet słabego podobieństwa. W ocenianiu rzeczy własnych trzymajmy się sprawiedliwości, nie przesady.

P. X. X. Nie tego nam potrzeba — nie uwag ogólnikowych, ale faktów bieżących. Dlatego z korespondencyi waszej nie korzystamy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Іюня 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**